Prawo wyborcze kobiet.

(Dokończenie).

I rok 1907 obfitował w kongresy kobiece; w maju odbył się wielki kongres we Wiedniu, znowu pod prezydencyą p. Maryanny Hainisch. W jednej ze swych najnowszych publikacyi [1]) oświadczyła p. Hainisch, że kobiety uważają rozszerzenie prawa głosowania mężczyzn aż do granic powszechności i równości, bez równoczesnego rozszerzenia go i na kobiety, za degradacyę i zniewagę dla siebie, tem bardziej że równocześnie tracą i to wyjątkowe prawo głosowania, jakie miały dotychczas w kuryi wielkich posiadłości ziemskich. Podnosi też interesujący szczegół, że kobiety ze stronnictw socyalistycznego i chrześcijańsko-socyalnego odmówiły brania czynnego udziału w agitacyi za kobiecem prawem wyborczem.

W sierpniu 1907 r. odbyła się znów międzynarodowa socyalistyczna konferencya kobieca w Stuttgardzie, a referentka z Austryi o prawie wyborczem kobiecem, p. Popp-Dworzak, chwaliła się tem, że ostatni wybór 86 socyalistów do Rady Państwa należy zawdzięczać w znacznej części czynnemu poparciu kobiet, należących do partyi.

---

[1]) Die oesterreichische Frauenbewegung (Oesterreichische Rundschau Bd. VII., Heft 88, 89).

Za to samo otrzymały „towarzyszki“ gorącą pochwałę ze strony dep. dr. Adlera. Równocześnie odbywał się bowiem w Stuttgardzie w drugiej połowie sierpnia 1907 r. międzynarodowy kongres socyalistyczny, za współudziałem koryfeuszów socyalizmu, między innymi dep. Jaurès'a z Francyi, dep. Adlera i Pernerstorfera z Austryi i t. d. Na tym kongresie przekonano się dowodnie, że umiarkowana taktyka parlamentarna a przeprowadzanie jakiegokolwiek radykalnego programu, są jak ogień i woda, które się nie dadzą razem połączyć, i sam p. Adler, który chciał być umiarkowanym i stanął w obronie umiarkowanej taktyki kobiet austryackich w sprawie walki o kobiece prawo wyborcze, poniósł małą klęskę, a do klęsk nie jest on, jako przywódca swego stronnictwa w Austryi i szef klubu socyalistycznego w Radzie Państwa, przyzwyczajony. Pani Schlesinger-Eckstein, przedstawicielka grupy austryackiej, dowodziła tam, że dzięki roztropnej taktyce uzyskały kobiety austryackie prawo odbywania politycznych zgromadzeń kobiecych, które może stanowić wstęp i podstawę do otrzymania kobiecego prawa wyborczego. Pan Adler bronił tej taktyki, a zarazem wychwalał „towarzyszki“ austryackie za ich ofiarność i dyscyplinę partyjną i stwierdził to samo, co pani Popp-Dworzak, tj. że dzięki powyższym ich cnotom udało się partyi odnieść tak znaczne zwycięstwo. Ofiarność polegała w tem, że kobiety austryackie same usunęły na drugi plan walkę o s w o j e prawo wyborcze, zaś dyscypliny wyborczej dowodem było oparcie się pokusom wychodzącym ze strony kobiet z „burżoazyi“, które chciały koniecznie odciągnąć „towarzyszki“ z drogi obowiązku. A jednak pomimo wymownych słów dr. Adlera ofiarność ta doczekała się pośrednio nagany, gdyż na plenarnem posiedzeniu kongresu d. 22. sierpnia 1907 r. przyjęto na podstawie referatu pani Zetkin dość ostrą rezolucyę w sprawie kobiecego prawa wyborczego, przygotowaną przez międzynarodową socyalistyczną konferencyę kobiecą, pomimo że pani Popp broniła stanowiska zajmowanego w tej sprawie przez austryackie delegatki. Rezolucya przyjęta przez kongres, nie pochwala tego stanowiska, ani też tak podnoszonej przez p. Adlera ofiarności.

I w Warszawie wreszcie odbył się kongres kobiecy w sprawie prawa wyborczego. Uchwalił on (w czerwcu 1907) domagać się dla kobiet powszechnego i równego, bezpośredniego i tajnego, czynnego i biernego prawa wyborczego, tak do ciał prawodawczych, jak i do instytucyi samorządnych. Jak widzimy, poszły kobiety warszawskie od razu do najdalszych granic, jak się to niestety

często zdarza tam, gdzie nawet i drobnego ustępstwa niełatwo wywalczyć. — Taka metoda nie wychodzi jednak na korzyść bronionej sprawy.

Co do Austryi, to już z powyższych sprawozdań z różnych kongresów i wieców wynika jasno, że nie stawiano tu kwestyi kobiecego prawa wyborczego, podczas świeżo przeprowadzonej reformy wyborczej, bynajmniej na ostrzu miecza. Uznawano wprawdzie teoretycznie, że sprzecznością jest, rozszerzać z jednej strony prawo wyborcze do najdalszych granic, z drugiej strony zaś odbierać je tym, którzy już je mają choć w pewnych ciasnych rozmiarach — ale pocieszano się refleksyą, że kobiece prawo wyborcze w grupie wielkich posiadłości ziemskich należało uważać za przywiązane raczej do ziemi, aniżeli do osoby; obecnie więc, z chwilą zrównania prawa wyborczego wogóle i uczynienia go prawem ściśle osobistem, tj. związanem jedynie z osobą, może kobiece prawo wyborcze odpaść zupełnie, bez naruszenia zasady powszechności.

Wniesiono wprawdzie pewną ilość petycyi, n. p. ze strony zgromadzenia kobiet w sali Ronachera dnia 10. grudnia 1905 r. we Wiedniu, ze strony Wydziału dla prawa wyborczego kobiet w Pradze dn. 1. października 1906, ze strony kobiet Polek, zebranych d. 10. stycznia 1906 na wiecu we Lwowie, [1]) ale praktycznym skutkiem tych petycyi nie było nic więcej, jak tylko wnioski pp. Choca, Klofača i Sobotki, radykalnych Czechów, stawiane w Izbie posłów podczas obrad nad reformą wyborczą (przy zmianie §. 7. ust. zas. o reprez. państw.) i odrzucone ogromną większością głosów. [2])

Podczas jesiennej sesyi Sejmu galicyjskiego, odbytej we wrześniu i październiku 1907 r., a zwołanej głównie dla załatwienia sprawy sejmowej reformy wyborczej, wpłynęło do Sejmu dość dużo petycyi, żądających rozszerzenia tego prawa wyborczego, jakie już na mocy dzisiejszej ordynacyi wyborczej kobietom przysługuje,

---

[1]) Patrz dyskusyę przeprowadzoną na tym wiecu w N-rze 16. „Słowa Polskiego" z dn. 11. stycznia 1906, p. t. „O prawo głosowania kobiet". W „Kole polskiem" był głównym orędownikiem tej sprawy poseł Teofil Merunowicz.

[2]) Patrz Stenographische Protokolle des Abgeordnetenhauses, XVII. Session, str. 39.896, posiedzenie 451 z dnia 16. listopada 1906 r.

i postawienia kobiet pod tym względem zupełnie na równi z mężczyznami. Petycye te przedstawił Sejmowi poseł Tomaszewski.

Na kobiecym wiecu socyalistycznym, odbytym w Mannheim we wrześniu 1906 r., a wspomnianym już wyżej, wyraziła referentka, pani Zetkin ze Stuttgardu, ubolewanie, że zaraz z początkiem walki o reformę wyborczą w Austryi wyeliminowano z niej prawie całkowicie walkę o prawo wyborcze kobiet. Znany niemiecki przywódca socyalistów poseł Bebel wyraził tam zupełną swą zgodność z wywodami referentki i oświadczył, że jest to błędem ze strony „towarzyszek“ w krajach przeważnie katolickich, jak Austrya i Belgia, że nie wywieszają sztandaru kobiecego prawa wyborczego i że się boją, aby kobiety, po przyznaniu im tego prawa, nie dostały się pod przemożny wpływ duchowieństwa. Austryaczki i Belgijki — kończył mowca z emfazą — będą musiały usprawiedliwić swe zachowanie się na kongresie międzynarodowym. A jak dalece kwestya „austryacka“ zajmowała umysły na takimże kongresie, odbytym w sierpniu 1907 r. w Stuttgardzie, opisaliśmy dopiero co wyżej i przedstawiliśmy, jak wymownie bronił dr. Adler, praktyczny polityk austryacki, umiarkowania i roztropnej taktyki kobiet austryackich, przeciw p. Beblowi, także praktycznemu politykowi i Niemcowi, ale nie austryackiemu.

Pani Klara Zetkin wydała swój referat mannheimski w obszerniejszem opracowaniu drukiem,[1]) podzieliwszy go na 9 rozdziałów i zaopatrzywszy trzema dodatkami, z których pierwszy zawiera rezolucye powzięte na kongresie mannheimskim, drugi zaś przedstawia rozwój kobiecego prawa wyborczego w różnych państwach kuli ziemskiej, a mianowicie we Francyi, Anglii, państwach kolonialnych angielskich i Irlandyi, w Stanach zjednoczonych Ameryki północnej, na Skandynawskim półwyspie, we Finlandyi, Rossyi, Austryi, Węgrzech, Szwajcaryi, Włoszech, Niemczech i Holandyi, przyczem jednak nie uwzględnia jeszcze najnowszego projektu rządowego z października 1907, o którym wspomnieliśmy wyżej, a który zamierza właśnie przyznać kobietom holenderskim czynne i bierne prawo wyborcze. Trzeci dodatek daje obraz socyalistycznej ankiety z r. 1906, zarządzonej przez paryską „Revue Socialiste“ w sprawie natychmiastowego wprowadzenia powszechnego prawa wyborczego (str. 74).

---

[1]) Zur Frage des Frauenwahlrechtes, von Clara Zetkin. Berlin 1907. Verlag Buchhandlung Vorwärts.

Najbardziej zasadnicze znaczenie ma rozdział II. rozprawy, w którym autorka wykazuje związek pomiędzy kapitalistycznym ustrojem produkcyi a kobiecem prawem wyborczem i domaga się tego ostatniego jako wyniku kapitalistycznej produkcyi, ogarniającej szybkim krokiem kraje cywilizowane.

Ciekawy, ale zupełnie fantastyczny projekt ułożył i ogłosił niejaki Jan Barolin. Chce on zorganizować parlament austryacki w ten sposób, by obok Izby poselskiej, mającej i nadal prawo merytorycznej decyzyi w rzeczach ustawodawstwa, postawić dwie Izby, mające opracowywać i przygotowywać projekta ustawodawcze dla niej. Jedną z nich miałaby być Izba reprezentująca ekonomiczne interesa ludności, drugą zaś Izba złożona z kobiet, parlament kobiecy, składający się, równie jak i tamte dwie Izby, ze 150 członków,[1]) i wybierany wyłącznie tylko przez kobiety w drodze powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania, z zastosowaniem reprezentacyi proporcyonalnej w najściślejszem słowa znaczeniu. Ten parlament kobiecy miałby obradować głównie nad kwestyą kobiecą i sprawami z zakresu t. zw. urządzeń użyteczności publicznej. Wszystko, co dotyczy w pierwszym rzędzie życia i zadań kobiety, wszystkie sprawy wychowania dzieci, specyalnej hygieny, wszystko co przemawia przedewszystkiem do serca ludzkiego, dostawałoby się pod obrady grona osób, które zdaniem autora posiada do tego daleko więcej naturalnej zdatności, uczucia i taktu, aniżeli parlament męski, jakkolwiek brakowałoby mu może potrzebnych technicznych wiadomości, ze względu na obecny system wychowania. Autor sądzi, że w ten sposób rozwiązał najprościej kwestyę czynnego i biernego prawa wyborczego kobiet i dał im możność twórczego działania w zakresie, dla którego one posiadają wszystkie potrzebne warunki.

„I w ten sposób zostałaby złożoną w ręce samychże kobiet możność doprowadzenia do pomyślnego rozwiązania tych wszystkich problemów, poruszających głęboko dzisiejsze społeczeństwo, które dadzą się objąć ogólną nazwą kwestyi kobiecej“.

Podczas przeprowadzonych niedawno ogólnych wyborów sejmowych w Galicyi i w Czechach postanowiły kobiety w różnych okręgach wyborczych wywalczyć sobie *via facti* i bierne prawo wyborcze i zgłosiły kilka kandydatur kobiecych do Sejmu. We Lwowie odbyło się zgromadzenie naszych suffrażystek i za-

---

[1]) Wahl- und Parlamentsreform-Vorschläge („Die Wage“ vom 13. Jänner 1906).

proponowało kandydaturę panny Maryi Dulębianki, popartą najgoręcej przez p. Perlmutter i p. Vorzimmer. I rzeczywiście panna Dulębianka wystąpiła jako kandydatka, liczne plakaty przedwyborcze wzywały do głosowania za nią ze względów zasadniczych, dla przełamania dotychczasowych ograniczeń a zdobycia dla kobiety nowych praw: kandydatka otrzymała przy pierwszych wyborach we Lwowie dn. 2. marca 1908 r. sporą ilość, bo aż 511 głosów, — komisya wyborcza jednak unieważniła je odrazu. — Nie wiemy, ile mieściło się w powyższej cyfrze głosów oddanych przez kobiety, a ile przez mężczyzn; — wiemy natomiast, że wyrobiła się w Galicyi praktyka, dopuszcaająca kobiety w miastach i w gminach wiejskich do głosowania przez pełnomocników, zupełnie wbrew §. 15. ordynacyi wyborczej sejmowej, która orzeka jak najwyraźniej, że pełnomocnictwo może mieć zastosowanie tylko w kuryi wielkich posiadłości ziemskich. Wskutek tego zaś pomnaża się nadmiernie zastęp głosów, które właściwie nie powinny były nigdy zostać oddane. A że kandydatka miała zapewne takich właśnie głosów najwięcej, przeto unieważnienie wszystkich głosów na nią oddanych, przedstawia się o tyle mniej drastycznie.

W Czechach zgłoszone były dwie kandydatury kobiece; pani Machowej, socyalistki, która otrzymała 491 głosów i pani Tumowej, która otrzymała 199 głosów.

Na Węgrzech udała się dnia 10. marca b. r. deputacya stowarzyszenia feministycznego, złożona ze 100 kobiet, do prezydenta Izby poselskiej Justha i do ministra spraw wewnętrznych hr. Juliusza Andrassy'ego. O ile deputacya miała powodzenie u prezydenta, który jej oświadczył, że uważa przyznanie kobietom prawa wyborczego za usprawiedliwione i pożyteczne, ze względu na inteligencyę i patryotyzm kobiet i że z tego powodu przyrzeka im poparcie; — o tyle znów brakło jej tego powodzenia u ministra, który powiedział otwarcie, że jego zdaniem brak jeszcze politycznych i społecznych warunków, umożebniających rozszerzenie prawa wyborczego na kobiety, że jeszcze dużo czasu upłynie, zanim się to stać będzie mogło i że wprawdzie nie obawia się, ażeby kobiety zaszkodziły polityce, ale natomiast ma obawę odwrotną, by polityka nie zaszkodziła kobietom

Cóż sądzić o całym tym ruchu suffragistycznym i o przyznaniu kobietom prawa wyborczego?

Odpowiedzi, rozstrzygającej tę kwestyę jednem słowem dać jeszcze niepodobna; — naszem zdaniem ona jeszcze na tyle nie dojrzała. Ale kilka myśli przewodnich i kilka uzyskanych już pewników, które tu przytoczymy, przyczynić się mogą do jej częściowego rozświetlenia.

Przedewszystkiem należy tu unikać krańcowego stanowiska i nie można stawiać alternatywy: wszystko albo nic. Dlatego również fałszywym jest postulat feministek, socyalistycznych kongresów, wniosku Ch. Dilkego j. w. ażeby przyznać kobietom prawo wyborcze w rozmiarach powszechnego głosowania, a więc na równi z najdalej sięgającem prawem wyborczem mężczyzn, jak i drugi, równie skrajny punkt widzenia, z którego osądzając kwestyę oświadcza się n. p. pani margrabina Mac-Mahon przeciw udzieleniu praw wyborczych kobietom, nie ufając ich rozumowi,[1] albo te 21.000 kobiet angielskich, które założyły w r. 1907 przez dr. Ewansa w Izbie angielskiej protest przeciw kobiecemu prawu wyborczemu, twierdząc, że zdobycie władzy politycznej zniszczy wpływ kobiety w jej właściwej sferze działania; — jak wreszcie i zapatrywanie, któremu dał wyraz autor listu otwartego do jednej z przewodniczek angielskich sufrażystek, miss Pankhurst.[2] Autor listu twierdzi, że kobiety nie mogą uzasadniać swych roszczeń do prawa wyborczego tem, że płacą podatki tak samo jak mężczyźni i że na równi z nimi podlegają rygorom ustaw i muszą im być posłuszne, (pomimo że w ich dojściu do skutku nie biorą udziału), albowiem do analogii pomiędzy obowiązkami publicznymi kobiet a obowiązkami mężczyzn brakuje najważniejszego momentu, tj. obowiązku bronienia państwa własnemi siłami, którego kobiety nie mają i z przyczyn fizycznych mieć nie mogą. Autor uważa prawo wyborcze za wynik dawnych praw męża orężnego, a konstatując nierówność pomiędzy mężczyznami a kobietami na punkcie publicznych obowiązków, nie przyznaje im też równych praw.

---

[1]) W ankiecie urządzonej na ten temat przez jedno z czasopism francuskich a ogłoszonej przez Maryę Ebner-Eschenbach i przetłumaczonej w warszawskiem „Słowie“ Nr. 193, z 21. lipca 1907.

[2]) List ogłoszony w „Neue freie Presse“ z 17. marca 1907 r. p. t. „Der Kampf um das Frauenstimmrecht“; Brief eines Wahlpflichtigen.

Jakkolwiek nie myślimy zaprzeczać związku, jaki istniał niegdyś pomiędzy obowiązkiem obrony, a przywilejem głosowania względnie brania udziału w uchwalających zgromadzeniach ludowych, jako nagrody za ten trud i obowiązek, to jednak dziś już trudno byłoby orzekać o słuszności względnie niesłuszności postulatu „Votes for womens“ ze stanowiska starogermańskich zgromadzeń centenarnych i wogóle ludowych, które reprezentowały naród w politycznem słowa znaczeniu, a w których mogli uczestniczyć tylko orężni mężowie. Dziś pojęcie narodu w politycznem znaczeniu pokrywa się z pojęciem ogółu obywateli, „orężność“ nie jest już ani przywilejem ani monopolem, lecz powszechnym a twardym obowiązkiem obywatelskim, a przedewszystkiem — i to jest dla naszej kwestyi rozstrzygające — walki, które staczają nowożytne społeczeństwa dla utrzymania swego bytu i rozwoju stają się w coraz mniejszej mierze walkami ściśle orężnemi, prowadzonemi za pomocą rozlewającego krew żelaza, lecz przekształcają się coraz więcej w szeregi walk, prowadzonych całkiem inną bronią, walk duchowych i ekonomicznych, staczanych za pomocą oręża, którym i kobiety władać mogą i władają, prowadzonych nie mieczem ze stali, ale mieczem potęgi duchowej, talentu i zdolności, pracy, cierpliwości i wytrwałości. Wobec tego byłoby bardzo zacofanem stanowisko, odmawiające kobietom c a ł k o w i c i e i z a s a d n i c z o prawa wyborczego; nie dałoby się ono utrzymać nawet na dziś, a tembardziej na przyszłość. — Byłoby zapoznaniem tej wielkiej roli, jaka kobietom przypada w dzisiejszym gospodarczo-społecznym i kulturalnym ustroju i stałoby w całkiem nierozwiązalnej sprzeczności z uprzystępnianiem im tych wszystkich nowych stanowisk i sposobów zarobkowania, jakie się w naszych oczach codziennie przed kobietami otwierają. Dlatego słuszne są słowa Campbell-Bannermanna, wygłoszone w angielskiej Izbie gmin (gdy w roku zeszłym uzasadniał tam swój projekt), że broni projektu z przekonania, gdyż nie uważa ani za rzecz pożyteczną ani usprawiedliwioną, ani nawet politycznie przyzwoitą, wykluczać kobiety całkowicie od prawa wyborczego. Dlatego słusznie mówi angielski pisarz Macdonald we wspomnianej już ankiecie, że parlament powinien być obrazem całokształtu życia narodowego i że skoro kobiety grają w życiu każdego kraju doniosłą rolę, powinny też być dopuszczone do prawa głosowania, a tylko wtedy, jeżeli one nie odgrywają w pewnem społeczeństwie w pewnym czasie żadnej poważniejszej roli, jeżeli reprezentują — jak w Turcyi — nicość społeczną, to trudno zezwolić, ażeby ich głos oddziaływał

na losy państwa. Dlatego też słusznie postąpiło prawo austryackie dopuszczając kobiety przy wyborach do Sejmów krajowych w kuryach miejskiej i wiejskiej pod pewnemi ograniczeniami, a w kuryi wielkich posiadłości ziemskich pod tymi samymi warunkami co i mężczyzn (z wyjątkiem, iż nie mogą osobiście jawić się przy urnie wyborczej), a również słusznem było stanowisko pierwszej ordynacyi wyborczej do Rady Państwa, z 2. kwietnia 1873 r., dopuszczające kobiety do głosu przynajmniej w kuryi większych posiadłości ziemskich. Wprawdzie to prawo wyborcze nie zostało przyznane kobietom jako ich prawo ściśle osobiste, będące wynikiem ich pewnych właściwości i związane z ich osobą, tylko jako posiadaczkom nieruchomości, względnie reprezentantkom pewnego cenzusu podatkowego — ale też nie należy zapominać, że w r. 1861 względnie 1873 nie istniał jeszcze prąd feministyczny w dzisiejszem słowa znaczeniu, ani nie było suffrażystek.

Dziś, gdy w Austryi zniesiono przy wyborach parlamentarnych wszelkie wymogi cenzualne i skonstruowano prawo wyborcze jako prosty wynik osobowości i jako prawo ściśle osobiste *(ius personae inhaerens)*, nie pomyślano dostatecznie o tem, jak olbrzymią niekonsekwencyę i niesprawiedliwość popełniono, dając równe prawo wyborcze każdemu osobnikowi męskiemu za to tylko, że się raczył urodzić i dójść do pełnoletności, bez względu na jego stan umysłowy, ekonomiczny i społeczny, a odmawiając go równocześnie nawet najdzielniejszym, najrozumniejszym, najwykształceńszym i najzamożniejszym kobietom, a nawet nie zostawiając go *ad personam* tym kobietom, które je w chwili wydania ustawy z 26. stycznia 1907 r. posiadały. Dziś więc ma prawo wyborcze każdy najgorszy kretyn płci męskiej, dopóki nie jest pod kuratelą, a niema go najrozumniejsza kobieta w Austryi: ma je każdy pomywacz lub wycieracz kanałów, a niema go właścicielka latyfundyów lub wielka filantropka.

Takiego stanu rzeczy nie można nazwać sprawiedliwym: — i tak być niepowinno. Gdy uchwalano austryacką reformę wyborczą, pod pressyą okoliczności i stosunków, o których nie tu miejsce i nie czas teraz mówić, zdawano sobie zapewne sprawę z tego, że dopuszczenie kobiet do głosowania nada wyborom cechę więcej konserwatywną i wzmocni żywioł konserwatywny; — i to już mogło być dla radykalnych stronnictw dostatecznym powodem do niedopuszczenia kobiet, tem bardziej, że z punktu widzenia pożycia domowego nie przyczyniłoby się „Vote for women" do ustalenia harmonii małżeńskiej i spokoju rodzinnego, wbrew optymi-

zmowi p. Anny Shaw i p. Juliusza Renarda na wspominanej już ankiecie. Ze stanowiska interesów narodowościowych znów, które były główną busolą oryentacyjną przy uchwalaniu reformy wyborczej, nie było żadnej statystyki, którąby mogła była poinformować o skutkach, jakieby pod względem narodowym wywarło dopuszczenie do głosowania kobiet, reprezentujących ten a ten stopień wykształcenia lub zamożności, albo rodzaj zatrudnienia. I dlatego załatwiono całą rzecz sumarycznie odmownie. Należy się spodziewać, że tego błędu, zupełnego usunięcia kobiet od głosu i odebrania nawet praw wyborczych już nabytych, uniknie się przy zamierzonej sejmowej reformie wyborczej w kraju naszym.

Ale co innego jest usunąć kobiety zupełnie, a co innego przyznać im na punkcie prawa wyborczego najzupełniejsze równouprawnienie z mężczyznami. To ostatnie uważalibyśmy za błędne, z tych samych powodów, dla których dziś jeszcze wiele osób i sfer odmawia kobietom prawa wyborczego w o g ó l e, a natomiast jesteśmy za przyznaniem kobietom prawa wyborczego częściowo, pod pewnymi warunkami czyli za o g r a n i c z o n e m prawem wyborczem kobiet. — Streszczając się, stawiamy kwestyę w sposób następujący:

W państwie o bardzo ograniczonem prawie wyborczem, mogłyby kobiety niemieć wcale prawa wyborczego; ale takich państw już dziś niema. W państwach natomiast o bardzo obszernem, o powszechnem lub nawet powszechnem a równem prawie wyborczem, powinny być kobiety dopuszczone także do głosu, atoli nie w tej rozciągłości co mężczyzni. Koniecznem jest zatem tak pewne stopniowanie kobiecych uprawnień wyborczych, zależne od rozciągłośsi uprawnień wyborczych męskich, jakoteż i zachowanie w każdem państwie pewnej granicy oddzielającej rozciągłość uprawnień kobiecych od rozciągłości uprawnień męskich wyborczych, a to na niekorzyść tych pierwszych. W żadnym razie zaś nie dałoby się uzasadnić ani powszechne prawo wyborcze kobiece, jak tego chce np. Ch. Dilke, ani wogóle przyznanie kobietom praw wyborczych, zupełnie tak samo szerokich, jak mężczyznom.

Następnie jesteśmy zdania, że dopuszczenie kobiet w bardzo s z e r o k i c h r o z m i a r a c h do głosowania powinno nastąpić n a j p i e r w e j w państwach o starym i bardzo wyrobionym już konstytucyonalizmie, mających powszechne lub prawie powszechne prawo głosowania już od dawna, skonstruowanych szczęśliwie pod względem społecznym i nie wykazujących wielkich różnic pomiędzy swemi częściami pod względem narodowym, kulturalnym

i ekonomicznym. I dlatego podzielamy w zupełności zdanie Gustawa Cohna,[1]) że jeżeli nawet w Anglii nie uzyskały kobiety dotąd prawa wyborczego, nie tylko w tych rozmiarach co mężczyźni, ale wogóle żadnego, to inne państwa europejskie, jak Niemcy, Francya, a naszem zdaniem i Austrya i t. d. nie powinny odbierać Anglii zaszczytu i ryzyka zrobienia pierwszej próby.

STANISŁAW STARZYŃSKI.

---

[1]) Die deutsche Frauenbewegung, Berlin 1896, a zwłaszcza rozdział II. p. t. Frauennatur und Frauenkultur, str. 74, sq.

Alfred Szczepański: Die Reform des Wahlgesetzes in Oesterreich, Wien 1901. Th. Eglauer: Wahre Interessenvertretung; ein Beitrag zur Reform des Reichsrathswahlordnung, Wien 1901, tudzież: Das Problem einer gerechten Wahlreform (Oesterr. Rundschau 1905), Br. Stefan Haupt: Ein Vorschlag zur Wahlrechtsfrage (Tagesbote aus Mähren u. Schlesien 1905), są wszyscy za przyznaniem kobietom czynnego, Eglauer nawet i biernego prawa wyborczego.

O Ameryce patrz Dr. Otis Harrison Fisk: Stimmrecht und Einzelstaat in den Vereinigten Staaten von Nordamerika, Leipzig 1896, str. 214—217 rozdział p. t. Das Princip des Frauenstimmrechtes. Patrz także Romualdo Cevilli: La donna elettrice, studio sul diritto di suffragio in rapporto alla questione femminile, Torino 1900.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

(Ciąg dalszy).

Zawiedzeni poniekąd rapsodem, nie znajdując w nim odpowiedzi, jak poeta pojmuje króla, biskupa i ich wzajemny stosunek, bierzemy do ręki oba dramaty: Bolesława Śmiałego i Skałkę. Wymieniony już na wstępie doskonały znawca Wyspiańskiego p. Ostap Ortwin pierwszy określił istotę koncepcyi tych dzieł i ich wzajemny do siebie stosunek. Oto jego zdaniem król Wyspiańskiego „z wiarą w przyszłość i uprawnienie swego stanowiska, podejmuje beznadziejną walkę z wzrastającą i wzmagającą się z biegiem dziejów legendą, co się toczy jak lawina, aby go wreszcie ciężarem swym przygnieść i pokonać. Walka zatem, jaką w dramacie stacza, nie jest tym historycznym konfliktem, który mógł mieć motywy takie lub owakie; walka ta odbywa się na przestrzeni wieków w świadomości powszechnej, która w tym konflikcie wyznacza czynom jego taką, a nie inną rolę". Nie sądzimy, by można z większą bystrością i jasnością dojrzeć i określić ideową technikę obu dramatów i dlatego nie wahaliśmy się przepisać zdanie p. Ortwina; co więcej sądzimy, że z pomocą tego klucza otworzyć można niejedne tajemne wrota innych także utworów Wyspiańskiego, dramatów na tle powstania listopadowego, o ile w tym razie zamiast „legendy" użyjemy pojęcia historyozofii. Inna rzecz, czy takie pojmowanie dramatu history-

cznego, będąc istotnie oryginalnym, nigdzie w poezyi zresztą nie znajdującym się pomysłem, nie sprzeciwia się pojęciu dramatu historycznego, nie wprowadza do niego mar lub myślowych preparatów, miasto żywych ludzi. Tak jest w danym wypadku, szczególnie w trzecim akcie Bolesława Śmiałego i w całej Skałce, podczas gdy pierwsze dwie odsłony tamtego, wyrwane z zaklętego kręgu tej idei, są chaotycznemi i składają się przeważnie z czynów nieumotywowanych lub niedociągniętych.

Wykład p. Ortwina tem skwapliwiej przyjąć trzeba, że w takim razie staje się wobec całkowitej harmonii stylu dzieła z jego ideą. Legendowemu aposteryorystycznemu charakterowi dzieła odpowiada bajkowy jego styl, uwydatniający się tem silniej, że poeta przyjął, iż w czasach Bolesława II. istniały jeszcze potężne przeżytki pogaństwa: ztąd w obu dramatów postaci Krasawicy, Rapsoda, Rusałek itp. Ztąd także w dalszej konsekwencyi ścisłego związku pogańskich wierzeń z przyrodą pokrewne Śmiechowi i Łopuchowi z Legendy fantastyczne twory Świst i Poświst. A wreszcie rozkołysana wyobraźnia poety, po „przestworzach chaosu lotem“ goniąca, wprowadzi do Skałki i starożytną Pandorę.

Formalna strona obu dramatów nastręcza niemało spostrzeżeń, nie zawsze miłych. Bolesław Śmiały, z wcześniejszych lat pochodzący, zostaje w zupełności pod wpływem Wagnera, niekiedy nawet przypomina przedwagnerowską operę. Żywioł muzyczny i świetna teatralna barwność przeważają tutaj nieraz nad mówionem słowem, ono samo zaś w pogoni za archaistyczną soczystością i prostotą staje się — tak w języku jak i w rymach — często brutalnem i nienaturalnem. W Skałce znowu, owocu ostatnich lat, widocznem jest to, co tych czasów wybitnem było znamieniem: uniesienie mowy w jakieś zaświatowe sfery, ponad szczyty we mgłach spowite.

Cofamy się poniekąd wstecz, rozkładając teraz karty Kazimierza Wielkiego (z r. 1900). Ale w rzeczywistości jesteśmy u kolebki ducha poety tak samo, jak przy ostatnim jego śpiewie. Bo rapsod ten, to obraz symbolicznego znaczenia dla Wyspiańskiego owej pamiętnej chwili roku 1869, kiedy nie tylko przyszło na świat jego ciało ale i począł się jego duch. Wspaniały pomysł, godny zaiste Słowackiego lub Dantego: duch wielkiego króla, zbudzony stukaniem do grobowca, patrzy na swój nieszczęśliwy naród. Wykonanie tego pomysłu mistrzowskie tam zwłaszcza, gdzie idea jeszcze na wierzch się nie wypycha, a poeta nie oskarża lecz maluje: tak n. p. obraz pochodu pogrzebowego („Idą

posępni...“) jest perłą poezyi polskiej, perłą jej nastrojowości, jej malowniczości, jej rytmiki wreszcie. Potem dopiero wysuwają się na pierwszy plan żale, zarzuty i skargi, które duszy poety odtąd na zawsze nie opuszczą:

„Naród mój tak się we swą przeszłość wśnił;
schodził we wszystkie grobowe piwnice
z trupami się, umarłymi rówieśnił,
badał ich w trzewach skonu tajemnice;
że sam w tych ciągłych łzach i płaczach pleśnił,
bruzdami czoło poorał i lice
i starzał, — w coraz dalsze patrząc groby;
wzrok tężył w uroczne podcienia żałoby.

Rozpoznawałem, że kochał się w trunach,
kołysząc w nich swą myśl, jakby w szalupach;
że czytać znał, jak w powikłanych runach,
w bereł kruszynach i koron skorupach;
jak na spuścizny cieszył się fortunach,
rozmiłowany w tych przegniłych trupach;
mniemając, że go to do życia wiodło,
że brał te trupie piszczele za godło.“

Przystańmy tu na chwilę, bo chociaż z tą myślą nieraz się jeszcze spotkamy, to nigdzie nie będzie ona tak przejrzyście i z takim naciskiem wypowiedzianą. Czy Wyspiański słusznie Polakom wyrzuca zapatrzenie się w widmo przeszłości? Najprzód przypomnijmy, że bądź co bądź słowa te wypowiada nie Wyspiański, ale Kazimierz Wielki. Czy więc najprzód król mówi sprawiedliwie? Tak: jeśli przyjmiemy fikcyę, że zmarły budzi się w roku 1869 i te czasy ogląda, ale też te tylko a nie dalszy rozwój epoki po styczniowem powstaniu, to ma racyę: Polacy ówcześni, massy ich, te właśnie, które za najbardziej patryotyczne się uważały i o tym patryotyzmie najgłośniej mówiły, nie „znali“ wówczas istotnie „innych radości, tylko te, gdy cmentarze światłem ścielą“; na przekór „stańczykom“, „plwającym“ ich zdaniem na przeszłość, w bezsilnym gniewie przeciw zaborczym rządom, „kochali się w trunach“ — że przypomnimy tylko, iż najwybitniejszą manifestacyą narodową owych czasów było święcenie rocznic historycznych, że także dziwnym przypadkiem na tenże rok 1869 przypada założenie Muzeum w Rapperswylu, pierwotnie „historycznem polskiem“ zwanego, a mającego charakter taki żałobny. Że już wtedy, w r. 1869 budziło się nowe życie, tego Kazimierz Wielki w r. 1869 mógł jeszcze nie spostrzedz, zwłaszcza widząc w swym

pogrzebie tak silne napięcie historyzmu; chociaż z drugiej strony, jeśli cudem ożył wtedy po tylu latach, to doprawdy można od niego żądać większej bystrości wzroku. Ale głos Kazimierza W., to oczywiście głos Wyspiańskiego. Więc jeśli on wyrzuca rodakom, że „biorą trupie piszczele za godło“, to nie ma słuszności, bo on to pisze w r. 1900, kiedy kiełkujące słabo w r. 1869 życie nowej Polski było już rosnącem drzewem, on pisze o pogrzebie Kazimierza W. w dziesięć lat po sprowadzeniu do Krakowa zwłok Mickiewicza, tej uroczystości tak samo będącej symbolem odradzającej się Polski, jak pogrzeb tamten był płaczem zrozpaczonej. Że Wyspiański mimo to te słowa pisze, to wytłumaczyć się nie da inaczej, jak tylekroć już przez nas powtórzonem twierdzeniem, że jak r. 1869 oczarował go na całe życie.

Pomijamy na razie drugi zarzut Kazimierza—Wyspiańskiego, do romantycznych poetów skierowany, bo przyjdzie na jego krytykę pora przy omawianiu Wyzwolenia. Ale jest jeden jeszcze, o

„wodzach narodu“
„co przewodzili nad ludem krzykami,
gędźbami nowe podsycali waśni,
samozwańczymi będąc prorokami.“
— — — — — — — — —
„Mówili wszystko, co powinien czynić
naród, — w rozstajne wskazując mu drogi;
wzajem się w słowiech jęli lżyć i winić
aż wzrośli na olbrzymie truchła-trwogi.“

W tych słowach, jeśli je na wszystkich „wodzów narodu“ rozciągniemy, będzie przesada; jeśli skierujemy je przeciw niektórym, aż nadto prawdy znajdziemy, prawdy tym razem, niestety, żadną historyczną datą nie ograniczonych, a w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego stulecia, w okresie namiętnych walk stronnictw do tylu, tylu „wodzów narodu“ dających się zastosować.

Zakończenie rapsodu bardzo pospieszne, węzeł gordyjski efektownie raczej niż prawdziwie rozcinające: oburzony król chwyta za młot, rzuca w mowcę, u ołtarza stojącego, „że piersią bryznął padł, — a naród obaczył się wolny!“ Tak? Przecież „niewola“ narodu była — nie mówiąc już o materyalnej niewoli — skutkiem nastroju całych mas, nie tego jednego mowcy tylko. Więc z jego zabiciem naród chyba nie „obaczył się wolny...“

Ułożony według chronologicznego następstwa przedstawionych wypadków historycznych szereg dramatów o powstaniu z r. 1830—1831 tak wyglądałby: Noc listopadowa, Warszawianka (dzień bitwy grochowskiej), Lelewel (zdarzenia sierpniowe). Ale przy takiem uporządkowaniu Warszawianka weszłaby w środek, co nie zgadza się z jej artystycznym charakterem, bo techniką różni się ogromnie od tamtych obu dramatów, podobnych znowu pod tym względem do siebie. Wysuwając z tych powodów ją naprzód, nie burzymy budowy idei tej seryi dzieł Wyspiańskiego, bo w Warszawiance wyraża on już *in nuce* swój pogląd na całe powstanie listopadowe.

Przy rozbiorze utworów, mówiących o Bolesławie Śmiałym, przyjęliśmy egzegezę p. Ortwina. Otóż jak tam Wyspiański na dramat z jedenastego wieku rzuca aposteryorystyczne światło urabiającej się przez wieki legendy, tak tutaj przedstawiając tragiczny bój o niepodległość wnosi jego mroki latarkę współczesnej autorowi a nie tamtym wypadkom historyozofii. Prawdą jest bowiem, że ówcześni wodzowie i żołnierze w znacznej części szli do walki bez nadziei zwycięstwa, dopiero jednak późniejsze pokolenia historyków moment ten podniosły do znaczenia rozstrzygającej sprawy i w tym nastroju dopatrzyły się głównej, zasadniczej przyczyny, która *a priori* uniemożliwiła pomyślny wynik powstania. Dopiero nowsza historyografia bowiem wykazała z jednej strony ogromną dysproporcyę pomiędzy polskiemi a rossyjskiemi siłami, a z drugiej strony wyraziła przypuszczenie, że jednak mimo to, kto wie, po czyjej stronie byłoby zwycięstwo, gdyby nie owa narkotyzująca Polaków beznadziejność. Tem pojęciem Wyspiański przejął się, bo dzięki jemu postaci tych ludzi dorastają do grozy tragicznej, nie bohaterskiej jednak w rodzaju pospolitych dramatów patryotycznych, lecz rozpaczliwej, byrońskiej, jak ktoś zauważył. Kiedy tam zazwyczaj nad sceną unosi się wierzący okrzyk „Za naszą i waszą wolność!“, tutaj wsłuchują się wszyscy w dźwięki „Warszawianki“, która wprawdzie także przyrzeka, że „kto przeżyje, wolnym będzie“, ale mówi zaraz, że śmierć ten upragniony cel pewniej i spieszniej da, bo „kto umiera wolnym już.“ Czy Wyspiański generalizując tutaj, nie dopuścił się jednostronności, na to przedmiotowa historya, nie ta, z której poeta czerpał, uczuciowa i filozofująca, odpowiedziałaby zapewne z powątpiewaniem, lecz bądź co bądź ani Chłopicki ani jego drużyna nie są w dramacie takim fałszem historycznym, jakim w zakresie mitycznej i poetyckiej tradycyi był Achilles. Autor bowiem nader

starannie tę tragiczną rezygnacyę wyprowadził z dwóch źródeł, niezaprzeczenie historycznych. W obu razach pośrednikiem poety jest Chłopicki. On najprzód wspominając napoleońskie czasy, tak je z dzisiejszymi kontrastuje:

„...huczały nam armatnie gromy
jak wulkan bucha i miota pocisków grad
w ogniach i dymie...
było nam wtedy Zwycięstwo na imię
i tylko takie zaznaliśmy hasła
a dziś... wy chcecie zgonu — więc zagasła
Marsowa gwiazda; — wy młodzi, wy młodzi
wy się stroicie w szlify, w pióropusze
a zagrobowy laur wabi wam dusze."

Chłopicki stwierdza sam fakt, pyta: „zkąd ta żałość, zkąd niemoc, zkąd śmierci żądanie?", lecz nie odpowiada. Ale czytelnik lub widz z łatwością za niego — i za poetę — z tych przesłanek odpowiedź wysnuje: właśnie dlatego, że ta świetna epopea napoleońska tak bezowocnie dla Polski minęła. „całą ziemię" polską „kir żałoby słoni". bo ludzie r. 1831 musieli sobie powiedzieć: jakżeż zdołamy my tego dokonać, czego nie zdołali tamci w warunkach tysiąc razy korzystniejszych. Sam Chłopicki za parę chwil połączy beznadziejność powstania z zawodem gloryi napoleońskiej i w zbolałych słowach zwróci się do posągu cesarza z wyrzutem. że „dziś Francya piosnkę nam przysełą" za tyle krwi przelanej niedawno przez Polaków pod jej sztandarami. I inny jeszcze moment podkreśli Chłopicki. inną przyczynę niemocy ówczesnego pokolenia. gdy z ironią powie o tych młodych, że „romantyzują". że są „poetyczni". Wyspiański naszem zdaniem. już tutaj potrąca z lekka o jedną z najgłówniejszych swych myśli. o szkodliwe oddziaływanie poezyi romantycznej na tęgość ducha polskiego. Nie zwrócono dotąd uwagi, że wszystkie osoby, w dramacie występujące — poza dwiema pannami — rozdzielone są na trzy nierównej wielkości grupy: Chłopicki — młodzi oficerowie — stary wiarus. Czy każde z tych trzech ogniw w łańcuchu ma równy zasób bohaterstwa? Nie: bohaterstwo jednego wiarusa, jednego. Chłopickiego, większe jest niż u całej gromady młodzieży, będącej za to bardzo wykwintną, bardzo rozpoetyzowaną. na byrońskiej i romantycznej poezyi wykształconą. Więc mimowoli, choćby nawet Wyspiański. do wywołania tego spostrzeżenia nie dążył — a nam się zdaje. że tego wrażenia chciał — widz do-

patrzy się związku pomiędzy karmieniem się romantyzmem a niemocą ducha.

Dramatyczna budowa Warszawianki jest prostą a teatralnie silną. Chłopicki z Radziwiłłem współzawodniczący i miłosno-bohaterska tragedya Maryi i Rudzkiego, to dwa składniki osnowy, ściśle z sobą związane: pierwszy dzięki drugiemu do historycznego zyskuje uczuciowy charakter, drugi dzięki pierwszemu zyskuje szersze znaczenie i tragiczniejszą grozę. Złączone one są z sobą i dalej, gdy z chwilą przemiany kochanki, nad stratą narzeczonego płaczącej, w Kassandrę, ojczyznie nieszczęście wróżącej, zlewają się w jeden strumień. Przemiana zaś sama dokonywa się nie z nakazu poety, nie z chęci stworzenia drugiej Judyty z Księdza Marka Słowackiego, ale siłą rzeczy, siłą całego poprzedniego biegu materyalnej i uczuciowej akcyi. Piękną oprawę stylową Warszawianki długo jeszcze w polskiej krytyce będzie się podziwiać. Wpływ francuskiego dramatu, widoczny tutaj szczególnie w pierwszych scenach, w zupełności odpowiada i treści i nastrojowi: wszak tak wybornie z historyczną epoką, napoleońskiemi tradycyami jeszcze żyjącą, zgadza się patetyczna, retoryczna godność i powaga szumna, a nieco konwencyonalna *empire'u*. Chłopicki jest stylowym od płaszcza do wysłowienia, (nie pojmuję wprost, jak jeden z krytyków mógł nazwać jego styl „nadętym"!), a biust Napoleona jako Cezara słusznie panuje nad sceną. W tę stylową szatę przyodział poeta dusze, drgające budzącem się żywszem tętnem romantycznych czasów, odtwarzając w ten sposób wiernie charakter epoki, w której klasycyzm Księstwa warszawskiego zmagał się z wileńskim romantyzmem, w geście i w zewnętrznych formach zachowując jeszcze dawną władzę, w serdeczniejszych akcentach ustępując już miejsca nowym prądom. Poeta zresztą z całą swobodą zrzuca z siebie francuski płaszcz, skoro tylko mu przeszkadza: druga część dramatu, tam, gdzie zresztą już nie historyczna chwila i nie mężowie miecza i polityki stoją w ognisku akcyi, ale sentyment i polska dziewica, ta część zrywa więzy francuskiej tragedyi, nie wyłamując się na szczęście z ram scenicznych. Nie można jednak przepomnać, że wstrząsające wrażenie Warszawianki nie samemu tylko słowu ma się do zawdzięczenia: przynosimy bowiem z sobą do teatru już serce, podatne na ból daremnej walki o wolność, wsłuchujemy się w dźwięki muzyki i pieśni, wreszcie najpotężniejszą chwilę przeżywamy wtedy, gdy poeta milczy, aktor gra: gdy wchodzi stary wiarus... Lecz mimo wszystko, co zgryźliwość przytoczyłaby na umniej-

szenie zasługi Wyspiańskiego, pozostanie faktem, że Warszawianka, jak w r. 1898 po raz pierwszy zdobyła dla poety polskie serca, tak i w spokojnym sądzie estetycznym do najpiękniejszych jego dzieł zaliczoną będzie.

Szlachetną piękność Warszawiaki oceni się należycie, zestawiając ją z Nocą listopadową (z r. 1905). Ideowo do koncepcyi Wyspiańskiego nie wnosi ona nic nowego, chyba tylko to, że poeta porzucając analizę poszczególnych składników, wznosi się do uogólnienia tragizmu powstania listopadowego. Tylko, że tam do wyłuszczenia myśli wystarczyły autorowi proste, dla każdego zrozumiałe środki artystyczne, tutaj wprawiony jest w ruch cały aparat reminiscencyj historycznych i mitologicznych. Jeszcze w pierwszej scenie to nie razi, bo uważa się ją za rodzaj prologu, chociaż bądź co bądź skojarzenie Niki z pod Maratonu, Nike z pod Salaminy, Nike Napoleonidów, Nike z Cheronei jest dowolnem.

Gdy ostatnia mówi:

„Oto po śmierć dążę,
Obaczę ich we krwi
Pozwalasz mi znowu wstać
Poległym łoże słać.
— — — — — —
Nie giną synowie moi,“

to czytelnik przypomina sobie, że ta sama pogrzebowa wróżba wypowiedzianą została w Warszawiance w sposób i prostszy i, co ważniejsza, ściśle dramatyczny. Ale Pallas, ale Ares? P. Stanisław Lack w pierwszej dostrzega ducha rewolucyjnego, w drugim żywiołu wojennego. Zgoda na drugie wyjaśnienie, wątpimy natomiast w prawdziwość pierwszego, bo w takim razie tłumaczenie symbolu jest zupełnie samowolnem, sprzecznem z mitologicznem pojęciem tej postaci. Tak więc Ares, jeśli istotnie ma brutalną żołnierkę wyobrażać, jest symbolem konwencyonalnym, bo prościej byłoby wyrazić to samo w jakiej rzeczywistej osobie; a Pallas, jeśli jest tem, za co ją p. Lack bierze, jest sfałszowaniem właściwego symbolu bogini. Jest jeszcze Kora i Demeter. Jako wyjęta z całości „wstawka“ rozmowy matki z córką są przepiękne. Schiller także napisał wiersz o tym samym motywie *(Klage der Ceres)*, ale dał rzecz płytszą w pojęciu, mniej wzruszającą i suggestywną w nastroju, w rytmie tylko melodyjniejszą.

Myśl dyalogu zrazu obraca się w zakresie znanego poglądu Wyspiańskiego o nieubłaganym tragizmie losu („Umierać musi, co ma żyć“), potem jednak przybiera odmienny kształt, u tego właśnie poety zadziwiający:

„Wieki i lata, co przyjdą
żyć będą ziaren tych treścią.
Ziemia rodzić będzie,
kędy siew padnie zdrowy.
Ludzi zbudzę, roześlę orędzie
na żywot, żywot nowy!
Pokoleniom ostawię czyny,
po ojcach wielkich — wielkie wskrzeszę syny,
kiedyś — będzie wolni!
Co złego w was i co marne
to jako plewy i ziele złe zgarnę;
co chwastu na naszej roli
i co szkodzi wam, co was boli,
to ukoję — czasu przebiegiem.
Przejdziecie jeszcze niejedną nędzę
i niejedną przebolicie próbę.
A jeżeli lichego serca ludzie
w was samych gotują wam zgubę, —
ja ich powołam — i jak plewo zmiotę!
I w ziarnach tu — na dnie — przechowam cnotę.
Za czas znów wrócę — i jeszcze razy wiele
przyjdę — Wiosna, z gwiazdą na czele
i żywot dam — tlejący w zgliszcz popiele!
A dzisiaj kres. — Krwi przelanej nie zmarnię
krwią pola, a rolę użyźnię
i synów z krwi tej dam — kiedyś — Ojczyźnie.“

Carmina to zaiste z ust Wyspiańskiego *non prius audita* i nie usłyszymy już ich też nigdy. Nie licują one z charakterem i tego, i dwóch innych dramatów o powstaniu listopadowem, nie swojo im także w ogólnej fatalistycznej symfonii poety. Że zaś tutaj wypowiada je i nie poeta sam od siebie i nie jakakolwiek rzeczywista osoba dramatu, lecz postać mityczna, z akcyą luźnie związana, nie dowierza słę im, ma się je za przypadkowy odruch nadziei, nie za wypływającą z dramatu pociechę.

Wizyonerski nastrój dzieła zaszkodził plastyce ludzi z krwią i kośćmi. Czy to jest Wysocki czy Czartoryski, oni zawsze są marami, są figurami szachowemi, poruszanemi przez tamte nadziemskie postaci. Jeden Łukasiński, ślepy więzień lochów belwederskiuh ma istotną grozę, lecz to przecież osoba drugorzędna,

o wartości całości nie rozstrzygająca. Wielki książę Konstanty zaś, zaciekawiający już z tego powodu, że poeta zresztą w tym cyklu unika przedstawienia figur rossyjskich, nie jest marą, lecz na nieszczęście wpada w drugą ostateczność: jest grubą, ledwo trochę ociosaną bryłą nie granitu, ale piaskowca. A tak z Nocy listopadowej przed nieuprzedzonym sądem nie wiele się ostoi cało, przedewszystkiem nie sam zrąb dramatu. Pozostanie tylko cudny dyalog Kory z matką (odegrany w krakowskim teatrze), który zwolniony z niestosownych dla niego ram łazienkowskiego otoczenia, jako mówiony obraz świetlny dorównywa pięknością Protesilasowi i Laodomii a dla polskiego uczucia od tamtych jest bliższy i milszy.

Lelewel (z r. 1899), osnuty na tle wypadków z 15. sierpnia 1831 r., fakturą bliższy Warszawiance niż Nocy listopadowej, nie może być, ściśle biorąc, uważanym za jedno z trzech ogniw sztuk o powstaniu listopadowem. Trzeźwy, suggestyom nigdy nie podległy Piotr Chmielowski widzi w nim słusznie „pięcioaktową dysputę, przerywaną z zewnątrz kilkoma zakłóceniami, które jednak na istotę rzeczy nie wpływają". Od siebie dodamy jako przykład ten moment, kiedy Lelewel przed wdzierającym się na salę obrad tłumem polskich „jakobinów", swoich politycznych przyjaciół, cofa się za firankę. Podobno tak się rzecz istotnie miała, tak ją przynajmniej przedstawia historyk powstania listopadowego, Stanisław Barzykowski. Ale mimo całego szacunku dla dziejowej prawdy, tutaj trzeba było koniecznie odstąpić od niej raz dlatego, że wyższa nad logikę historyi logika sceny („poezya jest filozoficzniejszą od historyi", powiedział już Lessing) domaga się tutaj stanowczo czynnego wystąpienia Lelewela w tym lub owym kierunku, a uniemożliwienie tego każdy widz w teatrze weźmie nie za wierność historyczną, lecz za naiwny „spryt" poczciwych niezręcznych dramaturgów starej daty; powtóre, że sąd widza musi takie postępowanie Lelewela nazwać tchórzostwem, co według wszelkiego prawdopodobieństwa sprzeciwia się intencyom autora. A dalej Chmielowski tak o Lelewelu mówi: „Nie jest to ani obraz historyczny wypadków z 15. sierpnia 1831 roku, ani też starcie się obozu czy prądu monarchicznego z demokratycznym; ani walka dwu przeciwnych idei, lecz rozprawa o potrzebie i konieczności uduchowienia się." Jesteśmy tutaj odmiennego zdania: powtarzając powyższe określenia, łączymy je nie spójnikiem „ani" lecz „i". W Lelewelu jest i walka prądu arystokratyczno-monarchistycznego z demokratyczno-republikańskim i rozprawa

o konieczności uduchowienia się. Lelewel występuje w podwójnej roli raz w jednej, to znowu w drugiej, czasem w obu równocześnie: to i skrajny demokrata. rewolucyjny republikanin i doktryner absolutnej idei. Czartoryski tak samo dwoistą ma postać: raz jest monarchistą, ambitnym kandydatem do tronu, to znowu trzeźwym. praktycznym politykiem, wrogiem jakiegokolwiek ideowego doktrynerstwa. I w tej dwoistości tkwi właśnie organiczna wada utworu, brak przejrzystości, brak wyraźnego czystego rysunku. „Dysputa o potrzebie uduchowienia się“ jest skrzywiona przez to. że naprzeciw siebie nie stają czyste, wyodrębnione pojęcia: tu „uduchowienie“, tam praktyczna polityka: na odwrót zaś „starcie się prądu monarchicznego z demokratycznym“ jest zamazane dysputą pomiędzy tamtemi ideami.

W tych warunkach w krytykę stanowiska czy to Czartoryskiego lub Lelewela, czy to samego poety, wdawać się naturalnie niepodobna: przyznać jednak trzeba, że poza wytkniętym, bardzo ważnym błędem. słowna rozprawa przeprowadzona jest silnie a zrozumiale, znacznie wyraźniej niż n. p. w bolesławowskich dramatach spór króla z biskupem. Wyspiański stanowczo nie przechyla się ani na jedną ani na drugą stronę, co jest chwalebną zaletą dramatu. Że bliższym jest jednak Lelewelowi niż Czartoryskiemu, to pewne i zgodne z jego duchem i temperamentem.

„Gdy nad narodem ciemne rozległy się noce.
budzi się prorok — duch, co go powiedzie. —
Ten sam że się zapłonie, jako słup ognisty,
i będzie przed szeregiem zwartym szedł na przedzie.
Temu Bóg odda dusz jedynowładztwo!“

Czy takim był Lelewel faktycznie? zapewnie nie, chociaż niewątpliwie takim być chciał. Takim chciał być także Wyspiański i takim go wielu współczesnych mieć chciało. Dzięki Bogu, los oszczędził mu konieczności chowania się za firankę przed... zwolennikami.

Legion (z r. 1900) stoi samotny, nie łącząc się z żadną z sąsiednich grup, ani z poprzednią ani z następną. Charakter jego historyczności to sprawia; za mało jej ma, by mógł do historycznych dramatów Wyspiańskiego się zaliczać, za dużo, by należał do zupełnie subjektywnych.

Punkt wyjścia historyczny, pierwsze sceny także. Wiadomo z pierwszej lepszej monografii Mickiewicza, że poeta przybył w lutym r. 1848 do Rzymu, tutaj poznał męczennicę Matkę Makrynę Mieczysławską, u Ojców Zmartwychwstańców się wyspowiadał, za naleganiem ks. Jełowickiego poddał się nauce i cenzurze Kościoła i razem ze „starszyzną polską“, w Rzymie przebywającą, starał się o posłuch u papieża. Przed audyencyą Mickiewicz, przepełniony poczuciem ważności tej chwili, u ks. Józefa Hubego prosił kornie o wspomożenie jego ducha. Postępowanie księdza, widocznie niezbyt zręczne, rozjątrzyło go, co oczywiście na sposób przemawiania i zachowania się podczas audyencyi wpłynęło jak najniekorzystniej. Poeta, według relacyi ks. Jełowickiego przemawiał wobec Piusa IX. głosem wrzaskliwym, coraz podnioślejszym. „Wykładał Ojcu św., że przyszła nowa epoka ducha. Upominał go, aby w niej spełnił obowiązek swój. Wspomniał i o Polsce — a w końcu chwyciwszy Ojca św. za rękę, wstrząsnął nią gwałtownie i zawrzasnął: „Wiedz, że duch Boży jest dzisiaj w bluzach paryskiego ludu“. Papież w odpowiedzi wskazał na niektóre grzechy Polski, jak rozwody, ucisk ludu, ciemiężenie Unitów, ale wzywając do czystości obyczajów i posłuszeństwa w wierze szczerze katolickiej, pobłogosławił takiej Polsce i takim Polakom. Polacy po tem posłuchaniu postanowili wyjednać u papieża błogosławieństwo dla legionu polskiego, mającego z Włochami przeciw Austryi walczyć. Na zebraniu Polonii rzymskiej obrady były bardzo burzliwe a ich osią była sprawa Towiańskiego: brat Norwida zarzucił Mickiewiczowi, że wyparł się nauki „mistrza“, poeta się bronił, że się jej nadal trzyma, bo wszak Kościół dotąd jej jeszcze nie potępił. Mickiewicz na czele Legionu był już w drodze do Medyolanu, kiedy Pius IX. potępił jego ostatnie dwa tomy paryskich wykładów, o Towiańskim wyrażając się, że chociaż nauka jego, jako niedrukowana, nie może być potępioną, to jednak uznaną być musi za mieszaninę wszystkich herezyi przez Kościół potępionych.

Wyspiański zrazu tej historycznej kanwy wcale wiernie się trzyma, haftując na niej to tylko, co z jej charakterem się zgadza. Więc w scenie pierwszej audyencya Makryny u papieża w r.

1845 i echa historycznych odwiedzin cara Mikołaja I. w Watykanie (tu zaraz dziwna niezręczność: papież przemawia — oczywiście po polsku — ks. Jełowicki jego słowa tłumaczy: zapewne, że w rzeczywistości tak być musiało, bo papież nie umiał po polsku ani po rusku, Makryna po włosku, po łacinie lub po francusku; ale na scenie mówią przecież wszyscy po polsku, a ks. Jełowicki nie tłumaczy, lecz powtarza i streszcza słowa Piusa, co jest i niepotrzebnem i nużącem). Trzy dalsze sceny na razie opuszczamy, przechodząc do piątej, gdzie Mickiewicz uzyskuje błogosławieństwo ks. Jełowickiego, by w następnej stawić się na posłuchaniu u papieża. I znowu przerywamy, by dopiero w jedenastej stąpić na grunt bodaj częściowo historyczny: ujrzeć Mickiewicza na czele legionu polskiego.

Liczba tych scen jest więc mała, wobec całości złożonej z dwunastu. Po raz pierwszy poeta tutaj nie pisze dramatu, lecz szereg scen luźnych. Co więcej po raz pierwszy nawet zewnętrznie z warunkami teatralnemi się nie liczy nic a nic, on, teatrem żyjący. Przedstawienie Legionu na scenie będzie kiedyś wymagało olbrzymich kosztów, wobec których niknie nawet nakład przedstawień najwspanialszych dramatów muzycznych Wagnera. Oto spis dwunastu dekoracyj: sala stanz d'Heliodoro w Watykanie — katakomby rzymskie — Colloseum w księżycowej nocy — klasztor Trinita de Monti — cela u OO. Zmartwychwstańców — sala audyencyonalna w Kwirynale — kościół św. Piotra w Rzymie — kopuła tegoż kościoła — Kapitol — Forum Romanum — Via Appia — noc nad wielkiemi wodami. To same dekoracye. A teraz kostyumy i inne rekwizyta teatralne: papież i car, nadludzka postać Sławy, św. Andrzej prowadzony na mękę krzyżową, litewskie boginki, świtezianki, guślarze, znachory, wiedźmy, Kastor i Pollus, chwytający rozszalałe konie Phoebusa, maska Caesara, przemieniająca się w maskę Napoleona I., łódź wielka, w powietrzu harpije, zmory, syreny, erinnye, pożar korabiu, Śmierć itp. Już z tego wyliczenia zewnętrznych akcesoryów widać, że wyobraźnia poety huraganem nieokiełznanym przebiega lądy i morza. Mickiewiczowi każe stawać się Brutusem, relikwiom zamęczonego przed wiekami świętego każąc ożyć, do katedry św. Piotra wprowadzając mitologiczny świat starożytnej Litwy.

A jednak styl ten zgodny jest w zupełności z wewnętrznym charakterem utworu, z omawianych dotąd najchaotyczniejszego, wśród dalszych również może z powodzeniem o ten niepochlebny prym walczącego. Próżną byłoby rzeczą chcieć odgadnąć wszy-

stkie gmatwaniny tego utworu: powołać się możemy na to, cośmy na wstępie o ciemnych miejscach u Wyspiańskiego powiedzieli. I nie mamy także zamiaru, idąc krok w krok za poetą, prostować wszystkie umyślne naciągania i przekręcania prawdy historycznej, że zwrócimy tylko uwagę na śmiałość, z jaką Krasińskiemu w dziesiątej scenie, na Forum Romanum, wkłada w usta łączenie zbawienia Polski z chwilą:

„gdy padną kościoły Romy,
gdy sklepienia Piotrowe rozpękną“

— co jest takiem samem merytorycznie zaprzeczeniem ducha Krasińskiego, jak romantyczny weltschmerz fałszował ducha Achillesa, tylko że tam chodziło o postać mityczną i obcą nam, tutaj o poetę znanego dobrze i naszego. Ograniczymy się tylko przedstawieniem roli Mickiewicza i dlatego, że on jest ośrodkiem dramatu i dlatego, że w niej krystalizuje się idea utworu.

Do odgadnięcia myśli L e g i o n u potrzeba nie tyle nadzwyczajnego wysiłku mózgowego, ile raczej bystrości w odróżnieniu, co jest bezpośrednim wyrazem idei Wyspiańskiego, co zaś skutkiem niekontrolowanego żadnem rozeznaniem rozkołysania się jego wyobraźni, wreszcie co jest, naszem zdaniem, mimowolną pozostałością dawnego stylu dramatów historycznych, wymagających podmalowania tła. Odpadają najprzód z tych powodów pierwsze dwie sceny, poświęcone Makrynie Mieczysławskiej, pierwsza historyczna, druga realistyczno-fantastyczna z gromadą chłopów z kosami w ręku, przypominających jak w P i a ś c i e krwawe widmo rzezi roku 1846. Akcya mickiewiczowska rozpoczyna się trzecią odsłoną. Mickiewicz w rozmowie z Krasińskim i wskutek ówczesnego swego mistycyzmu i podniecony czarem księżycowego widoku Colloseum, ma wizyę Sławy, wzywającej synów Polski do broni. W dalszym ciągu spotkawszy się z Matką Makryną, poeta wywnętrza się przed nią z obaw powstrzymujących go od spełnienia danej mu od Sławy misyi wybawienia narodu:

„W pustkę, w Noc zaszedłem ciemną,
Boga nadewszystko winuję,
modlitwa moja daremna,
koło mnie przepaście odmętu,
straszliwe piekielne upiory,
nie podołam przemódz wstrętu.“

Ona go uspokaja i w tym stanie poeta odwiedza ks. Jełowickiego, odbywa tu skruchę i gotowy jest do czynu:

„...Podejmę męczeństwo,
rozbudzę duchowe Słowieństwo“.

Na posłuchaniu u papieża przemawia do niego, by za Polski wiarę w Zmartwychwstanie „błogosławił duchowe powstanie“. Papież zrazu wzbrania się, potem z upomnieniami, przez Mickiewicza przyjętemi, błogosławi jemu i narodowi. Poeta zwoływa „rycerzy Baru“ i błaga Boga o „wojnę, o wojnę cudów“. Świat starożytnej Litwy odwraca się wprawdzie od niego, który go porzucił, „szaleństwem krzyża szalony“; Demos z tłumem łamie mu sztandary, za to że zapomniawszy swego własnego „wallenrodyzmu“, chce lud porwać ku szczytom ducha, a nie patrzy na krew mordowanego tłumu, staje przed nim Rapsod, uosobienie zamarłej chwały legionów napoleońskich. Na Forum jako Brutus przecina więzy Wolności, która pędzi na wozie naprzód, miażdżąc tłumy, Mickiewicza samego zostawiając. Na Via Appia poeta jak nowy Chrystus wiedzie tłumy, obiecując im „Jeruzalem żywą“, jeśli zaprzysięgną mu wytrwanie. Ale w ostatniej scenie przyznać musi, że „walka zakryła się nocą“. Lud rozpacza, wyrzuca przewodnikowi, że powiódł ich na śmierć i mękę:

„Jak wytrwać, w około burze,
niebo zawieruchy chłoną,
mgły w koło, przepaście odmętu,
na pokładzie krwi ciepłej kałuże.
O ręce we krwawej jusze,
nie przeniesiem odrazy i wstrętu!
Proroku, gdzie wiedziesz wybrańce?!
Obiecywałeś Raj złoty,
słoneczne kwiatów pogody,
a krwią spłynęły narody.“

Wtedy Mickiewicz zapala pochodnią łódź, by dokonać dzieła zagłady, a przez nią odrodzenia. Okrzykiem poety: „Zmartwychwstańcie młodzi!“ i wizyą Tanatosa kończy się L e g i o n.

W tem streszczeniu myśl jego nie wydaje się nam zawiłą. Łączy się ona najprzód zgodnie z syntetyczną ideą Wyspiańskiego o zmartwychwstaniu przez śmierć, z ideą, któląśmy już kilkakrotnie, po raz ostatni w N o c y l i s t o p a d o w e j widzieli. W pojęciu postaci Mickiewicza rysunek jest być może fałszywym —

w to nie wchodzimy, bo taka zasadnicza dysputa byłaby bezpłodną — ale względnie prosty. Wyspiański zarzuca twórcy włoskiego legionu, że sprzeniewierzył się wygłoszonemu przez siebie samego hasłu „wojny ludów“, że opanowany mistycyzmem, w świecie ducha jedynie umieścił wyzwolenie. Równocześnie jednak Wyspiański sam przyznać musi, że w przyszłości tylko w myśl Mickiewicza wyzwolenie dokonać się może, że dopiero po spaleniu, po odrzuceniu od siebie zmysłowej powłoki idei, przyszłe pokolenia, „młodzi zmartwychwstaną“. Tak sobie przedstawiając myśl Legionu, nie możemy oczywiście zaręczyć, czyśmy wiernie wniknęli w zamiar poety, ale zdaje się nam, że nikt piszący o nim, tej obawy pozbyć się nie zdoła. W pojęciu naszem byłaby widoczną dwoistość, sprzeczność wewnętrzna w idei Wyspiańskiego: co zarzuca Mickiewiczowi, tego od przyszłości oczekuje. Wyjaśnić tej sprzeczności całkowicie nie umiemy, możemy dać tylko trzy ewentualności odpowiedzi: albo poeta tutaj, jak zresztą i n. p. w Lelewelu umyślnie zdecydowanego stanowiska nie zajmuje, i podobnie, jak to często Ibsen robi, w końcowej katastrofie umyślnie zdaje się sobie przeczyć (byłaby to zapewne jedyna analogia pomiędzy Wyspiańskim a „magiem północy“) — albo ujawnia się tu istniejąca u niego niewątpliwie niedostateczna zdolność jasnego sformułowania idei, skutek niewystarczającego wykształcenia filozoficznego — albo my sami fałszywie myśl poety przedstawiliśmy. Nie oświadczając się za żadną, dajemy te trzy odpowiedzi do wyboru.

Warszawianka wzruszyła polskie serca, porwało je dopiero Wesele (z r. 1901). Za pamięci dzisiejszego pokolenia nie było dramatu, któryby w bodaj przybliżonym stopniu takim wichrem przeleciał przez polskie społeczeństwo, wywoływał tyle naprężenia w teatrze, tyle zajęcia po za nim, powódź artykułów i rozpraw literackich. W tem spoczywa pewność, że Wesele pozostanie na zawsze co najmniej takim dokumentem historycznym, jakim jest n. p. we francuskiej literaturze Hernani Wiktora Hugo, ba, ważniejszym, bo tam chodziło o kwestye literackie, tutaj i o nie i o najżywotniejsze zagadnienia narodowe. Lecz z tych samych powodów trudno jest dzisiaj pisać o Weselu: drga ono jeszcze w duszy polskiej, krytyk wobec niego na po-

trzebną przedmiotowość zdobyć się nie może, bo i on przecież razem z innymi był, jeszcze może jest, zahypnotyzowany. A zresztą tyle już o niem napisano, że mimowoli doznaje się nieprzyjemnego wrażenia, że powtarza się tylko, bo choćby się tego dawniej ani nie czytało, ani nie słyszało, któż zaręczy nam, żeśmy wszystko wysłuchali, wszystko przeczytali, co Wesele wywołało, a znowu jakżeż obronić się przed ludzką złośliwością, jakobyśmy słyszane rzeczy pisali, wydrukowane przepisywali.

Zacznijmy od najzewnętrzniejszych spostrzeżeń. Że Wesele ma formę sceniczną zupełnie nową, w artystycznym dramacie nigdzie nie użytą, chyba z krakowskiej szopki wziętą, to wszyscy wiedzą. Czy ta forma tutaj dobrze jest wybraną? Tak, doskonale. Że zgodną jest z krakowskim i weselnym początkiem dramatu, o to mniejsza: że ludowy jej charakter licuje z wiejskim terenem akcyi, do którego także miastowi goście się przystosowują, to już ważniejsza zaleta; lecz nadewszystko dlatego szczęśliwym był pomysł Wyspiańskiego, że jeśli chciał wprowadzić do akcyi rozmaite figury: rzeczywiste i widmowe, współczesne i historyczne — a musiał to zrobić, chcąc myśl wyładować — to nie miał lepszego do tego środka, jak forma szopki. W każdym razie zestawione n. p. z Legionem Wesele góruje prostotą kształtu i jego jasnością. Bo mimo tego gwaru, tego szalonego ruchu, jaki na scenie panuje, mimo ustawicznego przerywania dyalogu budowa całości jest przejrzystą, każdy zwrot jest umotywowany logiką szopki, zapewne nie będącą logiką matematycznej wiedzy, tylko szopki, ale logiką, doprawdy logiką. Pochód akcyi również jasny, może nawet mimo pozornej niedbałości bardzo kunsztowny: poeta zaczyna bardzo potocznie, bardzo poziomo, bo ostatecznie wesele wiejskie, choćby to się poeta z miasta z dziewuchą żenił, ani nie jest średniowiecznym *cour d'amour*, ani paradną *Haupt- und Staats-Aktion*. Ale zwolna a bez przerwy ton się podnosi: od śmiechów i całusów idzie ku ideom, od bronowickiego zaścianka ku Polsce całej. Są w tym pochodzie w górę wypoczynki, spadków nie ma, aż kurtyna z końcem trzeciego aktu zasłania zawrotne szczyty.

Tłok postaci ogromny, samych ról „solowych“ przeszło trzydzieści, a jednak każda ma swoją odrębną fizyognomię, żadnej z drugą pomieszać nie można. Żyją te postaci dla siebie, żyją i dla poety. I tu dostrzega się znowu ogromnej wyższości Wesela nad wieloma innemi dramatami Wyspiańskiego. Tu, gdzie wypowiedział ideę, szersze niż gdziekolwiek indziej obejmującą kręgi, tutaj nie ściągnął z Olimpu ani jednego bóstwa, nie przy-

własczył sobie z mitologii ani jednej postaci, nie pożyczył od obcych narodów ani jednego człowieka. Po za żywymi ludźmi kogo daje? Chochoła. tak. ale ten stoi przed chatą; widmo zmarłego narzeczonego. tak. ale ono żyje w smutku dziewczyny; Stańczyka i Rycerza. tak, ale oni przytomni są w duchu w każdej chwili: tamten w mózgu dziennikarza, ten w wyobraźni poety; Szelę, hetmana, Wernyhorę, tak, ale kto ich niema z nas w narodowem uczuciu? Że te urojenia z rzeczywistymi ludźmi gadają. że ci znowu także z nimi rozmawiają, w tem dowolności, wymysłu niema odrobiny więcej, niż w poezyi wogóle.

Jasnemi i zrozumiałemi są wszystkie poszczególne figury dramatu, nie jest tajemnicą jego idea. Smutna ona i beznadziejna.

„Orły, kosy, szable, godła,
pany. chłopy. chłopy, pany,
cały świat zaczarowany,
wszysko była maska podła.“

Gospodarz mówi to w podnieceniu, więc używa trochę za ostrych wyrażeń: zmieńmy ostatnie dwa wyrazy na „ułuda“. a otrzymamy zasadniczą myśl Wesela. Walka, którą wydał historyzmowi. i tu jest celem Wyspiańskiego. Zapatrzenie się w przeszłość. rojenia o przyszłości. w tamtem oczarowaniu snute, oto nasza niemoc. Nie nowa myśl to u poety, ale w Weselu brzmi na nutę odmienną, niż gdzieindziej. P. Kotarbiński łączy ten dramat podziemnym kanałem z Melancholią Malczewskiego i prawdopodobnie ma słuszność, bo Wyspiański w jego obrazy głęboko się wpatrywał; sam przed laty we Lwowie z ust poety słyszałem pomysł niewykonanego jednak dramatu, rozgrywającego się w pracowni Malczewskiego, Lecz nie tylko wizyonerstwo łączy ich obu. W obrazach. zwłaszcza w portretach Malczewskiego jest prawie zawsze jakaś alegoryczna postać, streszczająca w sobie pogląd artysty na malowaną osobę, zaprawiony gorzką, niemal zjadliwą ironią. chociaż tak głęboko nieraz ukrytą, że sportretowani ani się jej nie domyślają. Tę gorzką, zjadliwą ironię ma Wesele. ono jedno ze wszystkich dzieł Wyspiańskiego: ileż jej jest w słowach wieśniaków, z drwiącym uśmiechem patrzących na panów z miasta, ileż w bezlitosnem zdemaskowaniu dziennikarza przez Stańczyka. ileż jej jest choćby w tych kilku słowach Nosa: „Pan się narodowo bałamuci“.

Tak rozumiejąc Wesele, nie wdajemy się oczywiście w szczegółowe badanie każdej sceny, każdego ustępu dyalogu. Ale

odpowiedzieć musimy jeszcze na pytanie: co się w takim razie ma sądzić o Złotym Rogu, o czapce z piór, o sznurze? Im lepiej poznajemy Wyspiańskiego, tem bardziej utwierdzamy się w przekonaniu, że rozwiązania tragedyj są niego jakby z zewnątrz mu narzucone, że wypływają nie z rozwoju danej idei, jak on się dokonywał w jego duszy, lecz z rozlewnego potoku akcyi, który silniejszy od niego prowadził go poniewoli. W Weselu, jak sądzimy, ten przypadek także zachodzi. Nie twierdzimy bynajmniej, by końcowa katastrofa, zgubienie złotego rogu była niekonsekwencyą, bynajmniej, ale zdaje się nam, że ona problem poprzednich scen zacieśnia. tam chodziło o ułudę całego narodu, tutaj widzimy bankructwo jednej, cząstkowej idei: wiary w skuteczność udziału ludu wiejskiego w narodowej sprawie. Rzecz to ważna, ale tamta od niej jest ważniejsza.

O formalnej stronie Wesela po tem, cośmy na wstępie powiedzieli, już nie wiele trzeba dodać. Licuje ona z treścią utworu, jest jak ta rozmaitą, ma akcenty ludowe w odpowiednich miejscach, ma u ludzi z miasta stosowną wymowę i dyalektykę, u widm wzniosły, czasem groźny patos. Że widoczne są ślady, iż Wesele pisał uczeń Matejki, zauważyliśmy już na początku; że czynnik malarski wogóle olbrzymio tu zaważył, wiedzą wszyscy, bo mają w duszy obraz tej chwili, kiedy wszyscy skamienieli wsłuchują się w dal, czy nie usłyszą czarownego złotego rogu.

Dr. Józef Flach.

(Dokończenie nastąpi).

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

(Ciąg dalszy).

Po dokonaniu reformy Szkoła polska miała zatem analogicznie trzy kursa: elementarny, gramatykalny i licealny.

Kurs elementarny obejmował trzy klasy najniższe: IX., VIII. i VII. Na tym kursie uczono najprzód czytać po francusku i po polsku, następnie pierwszych początków gramatyki polskiej i francuskiej, katechizmu i historyi biblijnej, robiono ćwiczenia praktyczne w obu językach, uczono pisać i rachować. W klasie VIII. zaczynała się łacina.

Kurs drugi, gramatykalny, złożony z klasy VI., V. i IV., miał w planie naukowym wykład religii z wypracowaniami religijnemi piśmiennemi, całość gramatyki polskiej i wprawę w mówieniu i czytaniu polskiem, czytanie i tłumaczenie pisarzy polskich, historyę i geografię historyczną Polski, rysowanie map. Dalej wchodziły w zakres tego kursu języki francuski, niemiecki, łaciński i grecki, geografia, historya starożytna rzymska i grecka, arytmetyka, początki geometryi, rysunek naśladowczy i topograficzny.

Kurs III. licealny, obejmujący klasę III., II. i I., podzielony był na dwie równoległe sekcye: scientyficzną i literacką. Na tym

kursie były niektóre przedmioty wspólne, a mianowicie religia oraz literatura i historya narodowa.

Poza tem w sekcyi literackiej pierwsze miejsce w planie naukowym zajmowały przedmioty filologiczne oraz historya i literatura tak starożytna jak i nowożytna, a tylko w skróconych rozmiarach brano nauki ścisłe i przyrodnicze. W sekcyi scientyficznej te właśnie przedmioty miały przewagę, a na drugi i dalszy plan schodziły przedmioty literacko-filologiczne.

Uczniowie tej sekcyi uczęszczali na przedmioty niepolskie do szkoły publicznej francuskiej, a mianowicie do liceum im. Bonapartego, a w szkole mieli powtarzania i ćwiczenia w języku ojczystym. Wszystkie inne oddziały pobierały naukę w szkole.

Prócz tych trzech kursów, odpowiadających całkiem organizacyi szkół publicznych francuskich, miała szkoła polska kurs IV.: techniczny czyli przemysłowy, równoległy do klas: VI., V. i IV., utworzony „głównie dla potrzeby i wygody uczniów, którzy w starszych nieco latach oddani do szkoły lub też za młodu już przeznaczeni do zawodu przemysłowego, nie mieliby czasu przebiedz całą skalę wychowania klasycznego i ubiegać się później o stopnie uniwersyteckie“.

Na tym technicznym kursie nie uczono języków klasycznych, a trzechletni tok nauki obejmował: skrócony wykład matematyki, nauk przyrodniczych, rysunku i rachunkowości. Zresztą technicy słuchali razem z uczniami kursu gramatykalnego języków: polskiego, francuskiego i niemieckiego, geografii, historyi polskiej i historyi powszechnej. Ukończywszy studya w szkole batyniolskiej, mogli wejść i wchodzili zazwyczaj do handlu i rzemiosł, szli na rysowników do dróg żelaznych, na pomocników do architektów itp. Niektórzy przechodzili do szkoły polskiej wyższej montparnaskiej, a ztąd po zaokrągleniu wykształcenia, wstępowali do szkoły francuskiej centralnej, do szkoły górniczej albo szkoły dróg i mostów.

Uczniowie oddziału III. czyli licealnego po otrzymaniu stopni bakałarzy mieli otwartą drogę do uniwersytetu i do szkół do specyalnych.

Zaraz po reformie większość uczniów przeszła do klas technicznych, oddział klasyczny szkoły opustoszał. Z czasem zapanowała w frekwencyi obu kierunków równowaga.

Zamykając rok szk. 1857/8, cieszył się prezydent Rady Gałęzowski, że w kierunku wyższych studyów młodzieży nastąpił

pocieszający zwrot do języków starożytnych i studyów klasycznych.

Dalsze reformy nie sięgały tak daleko, jak n. p. reforma nauczania literackiego w klasach niższych w r. 1860, przeprowadzana z pomocą prof. Deltoura.

Szczególną troską otaczano naukę przedmiotów polskich: języka, literatury, historyi i geografii, oraz wychowanie w duchu narodowym. Przedewszystkiem chodziło o gruntowną znajomość języka polskiego i biegłe nim władanie. Tu nastręczały się wielkie trudności, tu skupiono główne starania. W r. 1853 nalegała Rada na funkcyonaryuszów i profesorów polskich, aby zniewalali uczniów do ciągłego używania języka polskiego w mowie potocznej. Wtedy to prefekt studyów, Malinowski, chwycił się starego, już zarzuconego środka: puścił w kurs t. z. Znak, który musiał brać ten, co w czasie rekreacyi rozmawiał z kolegami po francusku. Wieczorem wymierzano odpowiednią karę temu, w którego rękach był „Znak". Środek ten zarzucono jednak wnet, przyszedłszy do przekonania, że w tym wypadku więcej znaczy dobra wola i zapał patryotyczny, aniżeli przymus.

Otóż na rozbudzenie i pielęgnowanie uczuć patryotycznych w młodzieży działano rozmaitymi środkami i przy każdej nadarzonej sposobności.

Wiemy już, że Adam Mickiewicz zalecał celem budzenia uczuć patryotycznych wśród młodzieży zwiedzanie grobów zasłużonych około ojczyzny emigrantów i udział w patryotycznych nabożeństwach.

Uczniom przypominano przy każdej nadarzonej sposobnościi, że po to wstąpili do szkoły polskiej, aby zostać prawdziwymi Polakami, użytecznymi ojczyźnie swej. Mówiono im i kazano o tem zawsze pamiętać, że urodzeni na obczyźnie, narażeni są na wynarodowienie, a przez to na zatratę dla Polski. Nie staną się Polakami, nie nauczywszy się biegle języka ojczystego.

Szkoła żyła życiem całego narodu i brała szczery udział w jego losach, dolach i niedolach.

Wojna krymska rozgorzała już na dobre. Dyrektor Malinowski przemówił gorąco do młodzieży, która przyszła dnia 8. maja, aby złożyć swemu kierownikowi życzenia z powodu imienin.

Mówił jej, że na to wstąpili do szkoły, aby pokochać Polskę i jej rzeczy. Wszystko w szkole przypomina im ten święty obowiązek. Polskość i Polska powinna królować nad wszystkimi ich ideałami. Nadzieja powrotu do ojczyzny nie powinna ich nigdy

opuszczać. Wprawdzie zawiodły nadzieje w r. 1846 i 1848, ale obecna wojna krymska budzi nadzieje niezawodne. Polska nie zginie dla dobra ludzkości i dla chwały Boga. Wierzono wtedy prawie niezachwianie w niedaleki powrót do ojczyzny. Niestety były to złudne nadzieje, ale bądź co bądź były wydatnym czynnikiem w wychowaniu narodowem. Młodzież a z nią i starsze pokolenie emigracyjne brali teorye mesyanistyczne Mickiewicza i Krasińskiego na seryo.

To wszystko podniecało zapał do uczenia się przedmiotów polskich, mimo to rezultaty nie odpowiadały ogólnym oczekiwaniom. Pewne koła uważały stan nauki polskiej w szkole za mało zadawalniający.

Juliusz Jedliński w wydanej przez siebie w r. 1853 broszurze wytykał, że uczniowie nie używają pomiędzy sobą języka polskiego w potocznej rozmowie a to zdaniem jego dlatego, że „urządzenia szkolne nie obejmują pod tym względem żadnych wyłącznych zachęceń, żadnego szczególnego bodźca, żadnego nadzwyczajnego popchnięcia do współubiegania się; język polski jest uważany w szkole batyniolskiej jak każdy inny przedmiot. Jedliński proponował szereg środków, zmierzających do naprawy stosunków.

Reagując na te zarzuty, powierzyła Rada naukę języka polskiego w klasach wyższych zawodowemu poloniście, Erazmowi Rybaczewskiemu, a oprócz tego uprosiła Juliana Klaczkę do wykładu literatury polskiej w tychże samych klasach, o czem już wspomnieliśmy.

Nauka języka polskiego w klasach niższych miała uledz reformie. W tym celu wydelegowano osobną komisyę pod przewodnictwem poety Bohdana Zaleskiego.

Prezes Rady Gałęzowski zwracał z swej strony bardzo baczną uwagę na postępy w nauce języka polskiego, nalegając na dobrą intonacyę i czystą wymowę. Członkowi Rady Karolowi Sienkiewiczowi polecił poddać rewizyi kurs historyi polskiej, wykładany przez Leona Bilińskiego.

Przeprowadzenia reform pilnował dyrektor Malinowski. Sam zarządził w zakładzie pewne zmiany w literackiej części nauki z pomocą profesora Deltoura, zmiany, które wydały bardzo dobre rezultaty.

Zato reforma nauki historyi polskiej pozostała na razie w dziedzinie projektów. Karol Sienkiewicz, który jej miał doko-

nać, umarł, a uproszeni do zastąpienia go w tej pracy Januszkiewicz i Feliks Wrotnowski nic nie zrobili.

Długo za to dyskutowano w Radzie nad podręcznikiem do nauki gramatyki polskiej. Na wniosek Bohdana Zaleskiego wydano nareszcie w r. 1860 gramatykę Rufina Piotrowskiego, poprawioną przez członków Rady Stanisława Ponińskiego i Januszkiewicza. Piotrowski, sybirak, zasłynął jako autor „Pamiętników“, które Julian Klaczko przełożył na język francuski. Przez pewien czas uczył w szkole w klasach elementarnych.

Tymczasem nadszedł rok 1861, który przyniósł młodzieży szkoły polskiej w Paryżu cały szereg nowych podniet patryotycznych. Zapanowało istne wrzenie uczuć i umysłów na wieść o manifestacyach warszawskich i dokonanej przez żołdactwo rosyjskie rzezi kobiet i dzieci. W szkole zorganizowano przedstawienie III. części Dziadów. W kościele św. Magdaleny urządzono nabożeństwo żałobne, gdzie młodzież szkolna odśpiewała choral „Z dymem pożarów“. Potem szły pogrzeby Adama Czartoryskiego i Joachima Lelewela, którzy w ostatniej chwili życia rzucali potomnym hasło: „resurrecturis“. Normalny tok nauki doznał przez to wszystko pewnej przerwy, ale młodzież ówczesna nie żałowała tej straty, czując dobrze, że owe manifestacye patryotyczne były bardzo dodatnim czynnikiem w wychowaniu narodowem.

W tym samym nastroju patryotycznym zamykano rok szk. 1860/1. Przemawiali Bohdan Zaleski i historyk francuski Wiktor Duruy, późniejszy minister oświaty.

Mowa Duruy'a tchnęła szczerym patryotyzmem polskim i porywała młodzież polską. Mowca nawoływał, aby nie tracić nadziei i nie popadać w zwątpienie. Trzeba wpatrywać się w mężów czynu, jak Czartoryski i Lelewel. Oni zrobili, co do nich należało: Polska ma z nich chwałę i pożytek. Młodzież polska, gdy kocha ojczyznę, zrobi także, co do niej należy, co winna ojczyźnie.

Przy takim nastroju umysłów nie zadziwi nas, że na wieść o wybuchu powstania styczniowego znaczna część profesorów i starszych uczniów podążyła na pole walki, aby czynami stwierdzić tlejącą w sercach miłość ojczyzny.

Pielęgnując uczucia patryotyczne polskie, szkoła odczuwała równie żywo dolę i niedolę Francyi, swej chwilowo przybranej matki, której wdzięczną była za gościnę.

W r. 1859 n. p. zorganizowała Rada w imieniu szkoły składki na rannych armii francuskiej i wysłała adres do ministra oświaty z oświadczeniem sympatyi dla obrońców wolności włoskiej.

Wojna ta była w szkole bardzo popularną, uważano ją za początek zmartwychwstania narodów uciskanych, za wstęp do wojny o wolność Polski. W takiej atmosferze wzrastała młodzież szkoły polskiej. Uczuciom patryotycznym dawała wyraz w czynach.

W r. 1861/2 zorganizowała pomoc dla młodzieży, która, ratując się ucieczką z kraju, przybywała do Paryża bez wszelkich środków utrzymania. W czasie rekreacyjnym uczniowie szkoły dawali upust uczuciom patryotycznym: wykonywali rozmaite ćwiczenia wojskowe pod kierunkiem uproszonych do tego instruktorów, czytywali gazety polskie i śpiewali pieśni patryotyczne. W tym roku zorganizowano zebrania towarzyskie, na których najlepsi poloniści z pośród uczniów recytowali na głos arcydzieła literatury polskiej. Niektórzy w zapale patryotycznym w chwilach wolnych tłumaczyli arcydzieła Krasińskiego, Słowackiego, Brodzińskiego, aby się ćwiczyć w języku ojczystym.

Dla tem większej zachęty wyznaczono rozmaite nagrody za dobre postępy w języku ojczystym. Były uczeń szkoły Witold Hryniewiecki zobowiązał się pokryć koszta nagrody honorowej dla ucznia, który wykaże najlepsze postępy w języku i historyi polskiej.

W tym samym (1862 r.) ufundowała p. Dunin-Wąsowiczowa trzy honorowe nagrody dla dobrych polonistów.

A także i nagrody Stowarzyszenia byłych uczniów przypadały tym uczniom, którzy w języku polskim zarówno jak i w przedmiotach fachowych zrobili znakomite postępy.

Zachęcano młodzież do pielęgnowania uczuć patryotycznych i pokochania języka narodowego i innymi jeszcze sposobami.

W lutym r. 1854 poeta Antoni Gorecki, jeden z założycieli Towarzystwa wychowania narodowego, przysłał do rozdzielenia pomiędzy uczniów szkoły 50 egzemplarzy „Bajek“ swoich i 50 egzemplarzy „Głosu wolnego“.

Do użytku uczniów i profesorów szkoły stała otworem biblioteka szkolna.

Z początku posiadała tylko same książki szkolne, zakupywane przez zarząd szkoły. Wnet zaczęły do niej wpływać dary, niekiedy bardzo znaczne.

Lelewel przysłał jej z Brukseli 12 egzemplarzy swoich Dziejów Polski potocznie opowiedzianych oraz Atlas historyczny. Eustachy Januszkiewicz ofiarował jednocześnie 12 egzemplarzy Elementarzy polskich.

W r. 1844 przybyły dary panny Emilii Szczanieckiej, pani Seweryny Pruszakowej, J. I. Kraszewskiego, posła Ledóchowskiego i Henryka Dmochowskiego.

Rok 1845 przysporzył bibliotece przeszło sto tomów: w rzędzie ofiarodawców stanęło tym razem i Towarzystwo naukowe m. Paryża.

W r. 1846 zamieszkały w Paryżu emigrant rossyjski Turgeniew dał na zakupno książek polskich dla szkoły 500 fr., a jednocześnie wpłynęły do niej większe i mniejsze dary w książkach i rozmaitych środkach naukowych, nadesłanych przez ministeryum spraw wewnętrznych, przez Muzeum narodowe francuskie, przez generała Sznajdego i innych.

W następnym roku weszła w skład biblioteki szkolnej t. z. „Biblioteka wersalsko-wileńska.

Gdy po upadku powstania listopadowego rząd rossyjski ogołacał Polskę i Litwę z zbiorów książek i muzeów, wtedy kilku wychodźców polskich, wojewoda Antoni Ostrowski, poseł Walenty Zwierkowski, Ksawery Godebski, Hipolit Klimaszewski i inni zawiązali w Wersalu „Towarzystwo biblioteki wileńskiej", aby gromadzić książki i przewieść je do kraju do Wilna po odzyskaniu wolności. Biblioteka rosła bardzo prędko. Ofiary w książkach dawnych i nowszych, w atlasach, mapach, sztychach itd. płynęły obficie od swoich i cudzoziemców. Między innymi podarował bibliotece pułkownik Zeltner 359 tomów, a wojewoda Ostrowski 206 tomów.

Otóż ta właśnie biblioteka dostała się w darze szkole batyniolskiej w r. 1847 z tem zastrzeżeniem, że ją szkoła po oswobodzeniu kraju odda stolicy Litwy.

W r. 1851 pomnożyła się biblioteka za pośrednictwem już wspomnianej Emilii Szczanieckiej hojnymi darami księgarzy poznańskich: Stefańskiego, Kamieńskiego i Żupańskiego.

Dalej wcielono do biblioteki szkolnej zbiór książek emigrantów polskich z Dijon oraz bibliotekę rozwiązanego Towarzystwa demokratycznego w Paryżu.

Uporządkowaniem znacznej już biblioteki zajmował się w r. 1857 poeta Seweryn Goszczyński, a w następnym roku zamianowano bibliotekarzem Aleksandra Burbę.

Prócz książek gromadziły się w bibliotece i rękopisy. W r. 1860 złożono w niej znaczny zbiór rękopisów po Walentym Zwierkowskim, byłym pośle m. Warszawy z r. 1830.

Nowy członek Rady Eustachy Januszkiewicz, znany wydawca arcydzieł poezyi polskiej, wzbogacił bibliotekę cennymi darami.

Po śmierci Antoniego Hłuśniewicza i Joachima Lelewela odziedziczyła szkoła przeszło 4.000 tomów rzetelnej wartości. Lelewel zastrzegł sobie, że po oswobodzeniu ojczyzny książki jego oddane będą uniwersytetowi wileńskiemu.

W r. 1866 biblioteka szkoły batyniolskiej, uporządkowana ostatecznie przez ówczesnego bibliotekarza, sybiraka Karola Ruprechta, liczyła 21.383 tomy książek, prócz tego miała 1907 map geograficznych, 4612 sztychów i litografii, 196 tomów aktów Towarzystwa demokratycznego polskiego, rękopisy i korespondencye Lelewela, papiery po Zwierkowskim, Ostrowskim, Biernackim i po wielu innych.

We wrześniu r. 1869 było w bibliotece 22.262 tomów.

Według statutu organizacyjnego szkoły z r. 1845 mogli z biblioteki szkoły korzystać emigranci polscy w sposób, praktykowany w wszystkich bibliotekach francuskich.

Tymi szczegółami zamykam okres świetnego rozwoju szkoły (1848—1870).

---

4. Wojna francusko-pruska zachwiała bytem szkoły polskiej w sposób bardzo poważny. Z tą chwilą rozpoczyna się czwarty i ostatni okres jej dziejów.

Cała emigracya polska a z nią i szkoła polska wzięła w wypadkach żywy udział. Nie skończyło się na gorących publicznych uniesieniach na rzecz Francyi, wielu Polaków, a między nimi i sporo uczniów szkoły podążyło na pole walki, gdzie niejeden oddał życie za gościnną przybraną ojczyznę.

Na rok szkolny 1870/1 zapisało się do szkoły już tylko 175 uczniów: w poprzednim roku było 276.

Szkoła podzielała następstwa ciężkiej wojny i niedolę oblężonego miasta i skutki przegranej sprawy. Położenie jej stało się prawie beznadziejne. Już myślano o zamknięciu zakładu. Rozmaite czynniki złożyły się na to, iż do tego nie przyszło.

Podjęło akcyę ratunkową przedewszystkiem „Stowarzyszenie byłych uczniów szkoły polskiej“, założone w r. 1865, a istniejące dotąd.

Cele tego Stowarzyszenia określił statut z dnia 14. marca 1865 roku. Stowarzyszenie powstało, aby stworzyć ognisko dla

wzajemnych braterskich stosunków oraz aby nieść pomoc tym z stowarzyszonych, którzyby jej potrzebowali.

Stowarzyszenie nawiązało stosunki z szkołą batyniolską nietylko przez to, że odbywało w niej doroczne walne zgromadzenia, lecz i przez to, że ustanowiło dwie roczne nagrody: jedną dla ucznia rękodzielniczego a drugą dla licejczyka, który najlepiej będzie się przykładał nietylko do swoich fachowych przedmiotów, lecz zarazem w szczególny sposób do nauki rzeczy polskich.

Z czasem po zebraniu odpowiednich funduszów zamierzało Towarzystwo wspierać ubogich zdolnych i pilnych uczniów szkoły batyniolskiej.

W sposób bardzo stanowczy wpłynęło Stowarzyszenie na losy szkoły w r. 1871.

Po wojnie francuskiej kilku Polaków wzięło udział w wojnie cywilnej, która wybuchła w Paryżu. To było powodem, że opinia francuska zwróciła się bardzo nieprzyjaźnie przeciw Polakom i wszystkiemu co polskie. W emigracyi polskiej zapanowała wtedy panika i pognębienie. Zakłady naukowe emigracyi były zagrożone w swym bycie. Szkoła batyniolska miała być zamknięta.

Stowarzyszenie byłych uczniów szkoły zwróciło się wtedy w „Liście" do Rady szkoły z serdeczną prośbą, aby bądź co bądź szkoły, owego paladyum emigracyjnego, nie zamykać, przyrzekając ze swej strony nieść pomoc materyalną według możności.

Akcya podjęta przez Stowarzyszenie nie pozostała bez skutku.

Członek Rady Eustachy Januszkiewicz przełożył „List" Stowarzyszenia na język polski i pomieścił go w dziennikach galicyjskich.

Rozprawiwszy się z zarzutami, czynionymi szkole polskiej z powodu należenia do komuny kilku Polaków i wyraziwszy nadzieję, że rząd francuski przyzna szkole bodaj część dawnej subwencyi, oświadczyli autorowie „Listu" z energią, że szkoła polska w Paryżu jest sprawą świętą. Ufundowana przez zmarłych już patryotów, utrzymywana wśród najrozmaitszych nieszczęść przez pomoc moralną i materyalną wychodźctwa i kraju macierzystego, jak również przez pełne poświęcenia wysiłki jej administratorów i subwencye rządu francuskiego, stała się dobrem, własnością całej Polski, która sama ma prawo rozstrzygania o jej losach i zadekretowania jej zamknięcia.

Autorowie dodawali Radzie otuchy i wzywali ją, aby starała się szkołę utrzymać za wszelką cenę.

Tymczasem jednak prezydent Rady Gałęzowski przywiózł z Galicyi, dokąd w r. 1871 wyruszył, bardzo małą sumę, a w dodatku spotkał się z dość żywą niechęcią.

I zarządzona nowa subskrypcya wśród byłych uczniów szkoły dała bardzo skromny wynik. A i rząd francuski zapowiedział, że udziela subwencyi ostatni kwartał.

Z drugiej strony nie brakowała aktów poświęcenia i abnegacyi na rzecz zakładu. Dyrektor i profesorowie zrzekli się z początku pensyi a potem poprzestawali na skromnej płacy.

Liczba uczniów kurczyła się. Rok 1871/2 otwarto z 95 wychowankami, z których tylko 36 zamieszkało w internacie szkoły.

W r. 1872/3 zapisało się już tylko 75 uczniów. Trudności utrzymania szkoły na dotychczasowej stopie piętrzyły się coraz bardziej. Trzeba było zrobić jakiś stanowczy krok.

Odnowiona po wojnie Rada szkolna składała się z prezydenta Seweryna Gałęzowskiego, z wiceprezydenta Ludwika Wołowskiego, z Ksawerego Branickiego, z Karola Edmunda Chojeckiego, Aleksandra Chodźki, Eustachego Januszkiewicza, Ludwika Nabielaka, pełniącego obowiązki podskarbiego w miejsce chorego Januszewicza, z Artura Sienkiewicza, Bohdana i Bronisława Zaleskich.

Otoż ta Rada zrobiła krok stanowczy. W r. 1872 dn. 10. listopada ogłosiła sprawozdanie za czas od 1. października 1869 do 30. września 1872. Przedstawiwszy opłakany stan funduszów, zawiadamiała Rada szkolna, że wdrożyła wstępne układy o sprzedaż realności szkoły, na której ciążył dług bankowy w sumie 202.000 franków, umarzalnych w ratach rocznych po 14.000 franków. Większość Rady, nie widząc możności utrzymania szkoły, powzięła zamiar zamknięcia tejże, a stworzenia dla młodzieży uczącej się stypendyów.

Sprawozdanie Rady przynosiło w dalszym ciągu bardzo ciekawe szczegóły o głównych dobrodziejach szkoły: najprzód o dobrodziejach zamieszkałych w dzielnicy rossyjskiej, których nazwiska nie mogły być wymienione jak n. p. nazwisko owego szlachetnego ofiarodawcy (hr. A. B.) który złożywszy imieniem swego młodocianego syna 100.000 fr, na zakupno domu dla szkoły, położył pod nią trwały fundament. Dalej wymieniało sprawozdanie hr. Ksawerego Branickiego, który prócz 10.000 fr., danych na zakupno domu i 25.000 fr., złożonych w r. 1852 na utrzymanie

w ciągu jednego roku 25 nowych uczniów, płacił na szkołę przez lat 20 po 10.000 fr. rocznie. Dalej zajął miejsce w rzędzie ofiarodawców Arnold Skórzewski z kwotą 10.000 fr., dalej dr. Bącewicz, hr. Seweryna Mielżyńska i inni.

Szczególną wdzięczność wyrażała Rada rządowi francuskiemu za gościnę, za naturalizacyę szkoły oraz za wydatną pomoc materyalną.

Sprawozdanie kończy się bardzo ciekawym obrazem statystycznym. Od roku założenia szkoły w r. 1842 do r. 1872 wyszło z szkoły 1261 uczniów; z nich 597 akcesystów, uczęszczało do liceum i zdobyło w Sorbonie i w liceum 327 nagród i 1107. 144 uzyskało stopnie bakałarzy. Pomiędzy dawnymi uczniami liczono 73 inżynierów, 31 profesorów, 36 lekarzy, 12 adwokatów i sędziów, 127 wojskowych, 234 urzędników kolejowych i 247 funkcyonaryuszów kupieckich. Sprawozdanie to było niejako testamentem Rady szkolnej. Na szczęście nie nastąpił zgon szkoły.

Układy o sprzedaż realności szkolnej dobiegły do końca, kupił je zarząd miasta Paryża za tanią sumę 750.000 fr. Za uzyskany czysty kapitał nabyto na Batignolles przy ulicy Lamande (nr. 13 i 15) nowy plac pod szkołę, którą ostatecznie postanowiono utrzymać na niższej stopie. W r. 1874 w lipcu zainstalowano szkołę w nowym gmachu, w którym się dotąd mieści. Bibliotekę, dla której brakło miejsca, posłano w znacznej części w depozyt do Kórnika w Poznańskiem, powierzając ją opiece hr. Jana Działyńskiego.

Szkoła zeszła do skromnych rozmiarów, ale zapewniła sobie przez to dość pewną przyszłość z warunkiem co prawda przestrzegania przezornej i ściśliwej ekonomii.

W tych skromniejszych warunkach i na skromniejszej stopie utrzymuje się szkoła po dziś dzień. Z dziejów jej mamy już nie wiele do powiedzenia.

O obecnym stanie materyalnym szkoły daje nam dokładne pojęcie co dopiero ogłoszone sprawozdanie z obrotu jej funduszów za czas od 1. października 1905 do 30. września 1906 r.

Przychody z rozmaitych źródeł: z opłat uczniów, z darów, subwencyi i zapisów, z dochodów od walorów szkoły, z odsetek od funduszów w gotówce, z wylosowania i ze sprzedaży walorów oraz z dochodów od walorów donacyjnych, dały razem 63.982 fr. Suma wydatków doszła razem do 56.605 fr., a zatem przewyżka dochodów wyniosła 7.377 fr.

Wydatki rozdzieliły się na kilka kategoryi, a mianowicie spotrzebowano na koszta administracyjne 7.537 fr., na koszta naukowe 15.904 fr., na koszta żywienia 15.314 fr., na koszta odzieży i obuwia 3.694 fr., na koszta ogólne 9.096 fr., a na koszta donacyjne 5.058 fr. (Wydatków w centymach nie uwzględniam).

Lwią część kosztów donacyjnych pochłania stypendyum Braci Śniadeckich w kwocie 5.000 fr., a tylko maluczką część nagrody z zapisu L. Perneta, dawnego inspektora szkoły.

Bilans czyli majątek szkoły przedstawiał w tym roku w aktywach następujące pozycye:

Własność ziemska i budowle . . .	124.198	fr.	88	cent
Biblioteka w Kórniku i w szkole . .	56.500	„	—	„
Umeblowanie szkolne	4.253	„	—	„
Odzież, obuwie i inne remanenta . .	1.685	„	—	„
Walory procentowo według kursu z d. 1. paźdz. 1906 r.	636.595	„	35	„
Gotówka w kasie ekonometu i w dwu bankach francuskich	21.465	„	09	„
Zaległości w spłatach	379	„	30	„
Razem .	845.076	fr.	62	cent.

Zarząd szkoły spoczywa dotąd w rękach Rady szkolnej w składzie, który określił statut z roku 1865.

W r. 1878 umarł prezes dr. Seweryn Gałęzowski. Przez śmierć jego straciła szkoła największego swego dobroczyńcę. Dnia 1. listopada 1879 odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika jego, wzniesionego na podwórzu szkolnym. W gorących mowach na cześć zmarłego podniesiono wszystkie jego zasługi, powiedziano między innemi, że z pośród listy dobroczyńców szkoły, nazwisko jego „streszcza jakoby i uosabia inne“.

Następcą Seweryna został synowiec jego, znany okulista dr. Ksawery Gałęzowski. Szkołą zajmował się nie tak żywo jak jego stryj, ale zawsze zaskarbił sobie uznanie emigracyi. Stał na czele Rady aż do zgonu swego, dnia 23. marca 1907.

Po nim objął prezesurę brat jego, pułkownik Józef Gałęzowski.

W r. 1878 wszedł do Rady zasłużony już profesor szkoły i niestrudzony tłumacz arcydzieł literatury polskiej Wacław Gasztowtt i zasiada w niej dotąd jako jeden z najwybitniejszych jej

członków. Od r. 1890 powierzyła mu Rada inspekcyę nad szkołą, którą on dotąd bez przerwy dzierży, ucząc w szkole zarazem języka polskiego. W uznaniu jego wybitnych zasług powołała go Rada na swego wiceprezesa.

Prócz tego wchodzą obecnie do Rady: Eugeniusz Korytko jako skarbnik, Bolesław Rubach jako sekretarz, a prócz dyrektora szkoły jako członkowie zwyczajni: Aleksander Dybowski, Stanisław Karwowski, dr. Stanisław Lewenhard, Władysław Malinowski, Władysław Mickiewicz i Dyonizy Zaleski, a nadto Bolesław Niewęgłowski, jako członek honorowy.

Bezpośrednie kierownictwo szkoły spoczywało i w tym okresie w dalszym ciągu w rękach wypróbowanego dyrektora Stanisława Malinowskiego. Zasłoniwszy szkołę zwycięsko przed atakami komuny, Malinowski należał następnie do liczby tych, którzy ją utrzymali przy bycie. Gdy w zmienionych warunkach trzeba było oszczędzać, Malinowski okazał się w tym kierunku mistrzem, przy czem mu wiele pomagała jego bezinteresowność.

Zasługi dyrektora rosły. Rząd w ich uznaniu zamianował Malinowskiego oficerem Akademii. Emigracya uczciła go w sposób wyjątkowy. W r. 1879 odsłonięto monument na cześć Seweryna Gałęzowskiego i dobrodziejów szkoły oraz Francyi gościnnej. Pomiędzy nazwiskami dobrodziejów, wypisanemi na bokach monumentu, pomieszczono i nazwisko Malinowskiego, chociaż jeszcze żył. Zrobiono dla niego wyjątek jedyny, bo zresztą wypisano samych zmarłych tylko. Gdy r. 1885 obchodzono dwudziestą rocznicę założenia Towarzystwa byłych uczniów szkoły polskiej, Malinowski był przedmiotem najżywszych owacyi. Był to jeden z ostatnich jego pięknych dni. Nadeszła niebawem słabość coraz dokuczliwsza. Rząd francuski uczcił go jeszcze raz, zamianowawszy go oficerem instrukcyi publicznej. Malinowski umarł r. 1890, pełen zasług i chwały.

Jego następcą został inżynier Artur Stępiński, były uczeń i od r. 1863 jej profesor, a od r. 1885 członek Rady. Szkołą kierował lat dziewięć, umarł r. 1900.

Dwaj następni dyrektorowie Feliks Saniewski i Feliks Różycki zmarli zaraz po objęciu urzędu, obaj w roku szkolnym 1900/1.

Następca ich Alfred Budzyński kieruje szkołą dotąd.

Frekwencya zakładu z powodu braku pomieszczenia i szczuplejszych środków, musiała się widocznie zmniejszyć.

W roku szkolnym 1874/5. w którym zajęła nową siedzibę, liczyła szkoła 25 internistów i 26 eksternistów razem więc 47 uczniów; w roku następnym przybyło siedmiu eksternistów; na rok 1876/7 zapisało się 33 internistów i 28 eksternistów, razem 81 uczniów. W r. 1884/5 było w szkole 83 uczniów, w 1887/8 r. Frekwencya malała z każdym rokiem. W ostatnich latach nie przekroczyła liczby 50. W r. szkolnym 1906/7 było razem 43 uczniów, a mianowicie 32 internistów i 11 eksternistów.

Plan naukowy musiał się zastosować do nowych ciaśniejszych warunków.

Szkole pozostawiono charakter narodowy. Młodzież opuszczając szkołę, miała ile możności władać językiem i czuć po polsku. Dążono do tego, aby opuszczający szkołę znali historyę, geografię i literaturę polską.

Poza tem troszczyła się szkoła o to, aby z wychowanków swoich uczynić ludzi społecznie użytecznych przez wykształcenie, przez miłość do pracy, przez prawość, przez szczere umiłowanie tego, co dobre, co szlachetne. Uczniowie, chociaż nie tak liczni jak przedtem, mieli być wyborem najdzielniejszych.

Pielęgnując i kształcąc rozum i serce, nie zaniedbywała szkoła i strony fizycznej wychowania. Gimnastyka, spacery, gry i zabawy zajęły w wychowaniu szkoły w tym okresie sporo czasu.

Ponieważ na mocy nowych przepisów w szkołach francuskich publicznych, do każdej klasy licealnej oznaczono wiek, którego przekroczyć nie można było, ztąd wynikła konieczność przyspieszenia nauk przygotowawczych. Z tego powodu zniesiono w r. szk. 1890/1 w szkole klasy jedenastą, dziesiątą, dziewiątą, ósmą i siódmą, jakie poprzednio istniały, a zorganizowano zamiast tego dwie klasy przygotowawcze, do których przyjmowano uczniów, mających lat ośm.

Po ukończeniu klas przygotowawczych elementarnych, następował egzamin. Uczniów najbardziej uzdolnionych zatrzymywano w szkole, inni odchodzili z świadectwem ukończonych studyów elementarnych. Wybranych i pozostałych posyłano według uzdolnienia i życzenia na dalsze studya bądź do liceum Condorcet, bądź do kolegium Chaptal. Szkoła nie miała w tym okresie ani klas gimnazyalnych ani technicznych.

Oto obraz dziejów szkoły batyniolskiej. Czy zakład urzeczywistnił ideał, jaki mu wytknęli jego założyciele? Ściśle biorąc, nie zrealizował go, nie zrealizował go w całej pełni. Szkoła miała

wychować Polaków mówiących dobrze po polsku, czujących całkiem po polsku. znających dobrze Polskę i jej rzeczy, żyjących tylko dla Polski. Szkoła osiągnęła te cele, ale tylko w bardzo szczupłej, niknącej liczbie jednostek. Ogromna część wychowanków szkoły pozostała daleko od wytkniętego celu.

Nie nauczyli się w szkole mówić po polsku, nie poznali też dostatecznie, głównie dla braku znajomości języka narodowego, ani dziejów Polski, ani jej rzeczy, weszli po ukończeniu studyów nie w służbę macierzy, lecz w służbę innych krajów. O wszystkich jednak można powiedzieć, że dzięki szkole nauczyli się uważać się za Polaków i reprezentować przy każdej sposobności narodowość polską.

Ale czy szkoła winna, że cele idealne ziściły się tylko w małej części? Na to musimy odpowiedzieć: „Nie!“

Najprzód sam ideał był za górny, skonstruowany wtedy, kiedy myślano na pewno o niedalekim powrocie do ojczyzny. A powtóre szkoła musiała walczyć z wielkiemi trudnościami, których w znacznej części nie potrafiła usunąć.

Najwięcej czasu i najlepszą część dnia musiały z konieczności zająć przedmioty, objęte planem szkół francuskich. A plan szkół francuskich był zawsze i jest dziś rozległy, niełatwy do opanowania. Główną energię musiała młodzież tu skupić, aby dorównać młodzieży szkół francuskich.

Nauka przedmiotów polskich siłą rzeczy przesuwała się przeważnie na godziny popołudniowe i wieczorne, kiedy już umysły młodzieży były znużone. A dalej młodzież szkoły, przeważnie zrodzona z matek cudzoziemek i po cudzoziemsku wychowana, zaczynała się dopiero w szkole uczyć początków języka polskiego i nie mogła przy braku dostatecznego czasu robić pożądanych postępów. W lepszych warunkach byli interniści, w nierównie gorszych eksterniści, bo wróciwszy ze szkoły, zapominali w domu, czego się nauczyli w szkole, rozmawiając tu po francusku. A że wychowankowie jej nie powracali do ojczyzny, to i to nie jest winą szkoły, lecz prostym wynikiem stosunków politycznych i ekonomicznych, w której się znajduje społeczeństwo polskie w kraju macierzystym.

Pod względem narodowym szkoła zrobiła, biorąc rzecz na ogół, co zrobić mogła.

Poza tem była dla ubogiej emigracyi prawdziwem dobrodziejstwem, bo dawała dzieciom nawet najuboższym prócz opieki

moralnej, tak bardzo w Paryżu potrzebnej, i prócz nauki, także całkowite utrzymanie. Spełniała zatem wielkie zadanie społeczne.

To też gdy w r. 1896 wytoczono przeciw szkole ciężkie zarzuty i w ślad za nimi zaproponowano przenieść ją wraz z jej funduszami i zbiorami do Parany w Brazylii, słusznie powiedział Zygmunt Miłkowski, że szkoła zrobiła, co mogła.

Literatura i źródła, Akta urzędowe, tyczące się szkoły narodowej polskiej, Paryż 1844.— Association des anciens élèves de l'école polonaise: Statuts, Paris 1865; Statuts modifiés... 1865, 1866, 1868; Procès, — verbal de l'assemblée générale 1865 i dalsze; Projet de Revue littéraire et scientifique; Bulletin historique, littéraire, scientifique etc. zaczął wychodzić 1875 i istnieje dotąd pod nieco zmienionym tytułem, z początku kwartalnik, obecnie miesięcznik. — Biblioteka Szkoły batyn. Paryż 1866 — Bulewski D.: Objaśnienia dla rodziców emigracyi i narodu pol. o szkole pol. w Paryżu, Paryż 1844.— Chropieński M.: Szkoła batignolska w Paryżu, Lwów 1898 (Pamflet pseudonimowy). — Do Rady Towarzystwa, 1844. — Dwernicki: Objaśnienia, 1844. — École nationale: Origine et organisation, Paris 1858; Distribution solenelle des prix, Paris 1846 i t. d. do obecnej chwili; Discours prononcées pendant la distribution, Paryż 1846, 1847, 1869. — Gałęzowski Seweryn dr.: Okólnik, Paryż (1868); Tegoż Odezwa, 1861. — Gasztowtt V.: Stanislas Malinowski w Bulletin polonais 1891 nr. 49—57. — Inauguration des plaques commémoratives, Paris 1877. — Jaroszewski: List 1844. — Jedliński Juliusz: O szkole narodowej polskiej, Poznań 1853; to samo p. t. O wychowaniu dzieci wychodźców w szkole narodowej polskiej, Poznań 1853. — K(laczk)o Jul., O szkole narodowej polskiej, Paryż 1854. — Klimaszewki H.: Do rodziców i rodaków, Paryż 1853; Tenże: Protestacya, Paryż 1853; Tenże: Sprostowanie, Wersal 1842. — Objaśnienie... o szkole polskiej, Paryż 1844. — Odezwa, 1858. — Odezwa Tow. wych. narod., Paryż 1841. — Odsłonięcie pomnika... Gałęzowskiemu, Paryż 1879. — Organizacya szkoły nar. pol., Paryż 1845, (po pol. i fr.). — Ostrowski J. B.: Szkoła pol. nar., Paryż 1853 (Pamflet na S. Gałęzowskiego). — O żywieniu uczniów paryskich, Warszawa 1855. — Program szk. nar., Paryż 1841. — Rada szkoły nar., Batignolles 1855. — Rada szkoły nar. pol., Paryż 1856, 1864, (odezwy). — Rada wych. nar.,

Paryż 1847. — Rocznik Tow. hist.-lit. z r. 1866 i dalsze. — Sprawozdanie Tow. wych. nar., Paryż 1843 i dalsze do r. 1872. — Statut organizacyjny, 1843. — Szkoła polska: Sprawozdanie, 1862 i z lat następnych do 1872. — Towarzystwo wych. nar., Paryż, odezwy z r. 1841 (dwie), 1842 i 1847. — Nareszcie znajdują się wiadomości o szkole w wszystkich czasopismach emigracyjnych. — Wydatnej, uprzejmej pomocy przy gromadzeniu materyałów do dziejów tej szkoły doznałem od p. Wacława Gasztowtta z Paryża, za co Mu tu składam gorąco odczute podziękowanie.

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

(Ciąg dalszy).

---

18. Juillet, Vendredi. à la vue de Porto Ricco, à bord du Marq. de Voyer.

Après bien des impatiences et des ennuis, je me suis embarqué lundi soir. Nous apareillâmes le lendemain à la rade du Fort Royal à 6 heures du matin. Rien — rien ne saurait exprimer la manière, dont j'ai été malade. Mardi hier et avant hier. Enfin j'ai vomi jusqu'à du sang, avec des efforts si terribles. si

---

18. lipca, piątek, na widok Porto Rieco, na brzegu Marq. de Voyer.

Po wielu niecierpliwościach i przykrościach wsiadłem na okręt w poniedziałek wieczór. Nazajutrz o godz. 6 rano przybyliśmy do przystani Fort Royal. Nic — nic nie mogłoby wyrazić, do jakiego stopnia byłem chory. We wtorek, wczoraj i przedwczoraj. W końcu wymiotowałem aż do krwi, z wysiłkami tak stra-

affreux, que j'aurais fait pitié à mon plus cruel ennemi. Ah! Quel état! J'en tremble pour le seul souvenir... C'est la plus abominable maladie, dont la nature puisse nous affliger... Tout m'était odieux ou du moins indifférent... La vie m'était insupportable, et je désespérais à chaque instant que le vaisseau s'abima. Je ne conçois pas comment un être, rejetant, pour ainsi dire, toutes ses entrailles, puisse vivre quatre jours sans rien prendre. Je n'ai mangé, depuis mon embarquement jusqu'au moment où je l'écris que deux oeufs, que malgré tout cela „Ecco mi“, t'écrivant, t'aimant, t'adorant plus que jamais — tandis-que tu respires la santé, que tu cours la comédie, l'opera, les bals, que tu écoutes les fleurettes de mille galants, et que tu t'assoupis, en respirant l'encens de la flatterie. Ah! Combien s'écoulera de jours, avant que je puisse te dire, à mon tour... que je t'aime. Cette longue suite d'heures, que j'envisage devant moi, m'effrayerait sans ressource, et je ne savais pas, que personne n'est jamais demeuré au milieu d'un mois, et que le temps a beau s'allonger, s'étendre, se trainer — il faut qu'il passe absolument. J'ai déjà essuyé près de trois mois de ton absence. Ce triste souvenir me sert presque

---

sznymi, tak okropnymi, że wzbudziłbym litość w moim najokrutniejszym nieprzyjacielu. Ach! Jaki stan! Trzęsę się na samo jego przypomnienie... Jest to najobrzydliwsza choroba, jaką natura może nas dotknąć... Wszystko było mi wstrętnem, a przynajmniej obojętnem... Życie było mi nieznośnem i rozpaczałem wciąż, aby okręt nie zatonął. Nie rozumiem jak istota, wyrzucająca, że tak powiem, wszystkie swoje wnętrzności, może żyć cztery dni, nic nie przyjmując. Od chwili wejścia na okręt aż do chwili, w której piszę do Ciebie, zjadłem tylko 2 jaja, a pomimo tego „Ecco mi“ piszę do Ciebie, kocha Cię, ubóstwia więcej, niż kiedykolwiek — podczas gdy Ty oddychasz zdrowiem, bywasz w komedyi, w operze, na balach, słuchasz kwiatuszków tysiąca galantów i usypiasz oddychając kadzidłem pochlebstwa. Ach! Ile upłynie dni, nim ja będę mógł powiedzieć Ci z kolei... że Cię kocham. Ten długi przeciąg godzin, który przesuwa się przedemną, przestraszyłby mię bez ratunku i nie widziałem, żeby ktokolwiek zatrzymał się kiedy pośrodku miesiąca, a ponieważ czas ma skłonność dłużyć się, rozciągać i ciągnąć się, potrzeba, aby przeszedł koniecznie. Odczułem już około trzech miesięcy Twojej nieobecności. To smutne wspomnienie służy mi prawie za pociechę...

de consolation... Je me dis, pour me tranquilliser: ce que j'ai a souffrir ne saurait être pire que ce que j'ai souffert. Avec un peu de courage, je me tirerai de là, et j'aurai un jour la recompense de toutes ces peines. Aie soin, mon coeur, que je ne sais point trompé. Notre navigation n'est point désagréable. Nous sommes presque toujours à la vue de terre. Hier nous avons cotoyé St. Croix, petite isle, qui apartient aux Danois, qui la cultivent à merveille. Si je n'avais pas été malade, j'aurais pris plus de plaisir encore à sa fertilité et au coup d'oeil charmant qu'elle nous offrait. Aujourd'hui le matin nous aperçûmes la pointe de l'est de Porto-ricco — et à l'heure, que je vous écris, nous ne sommes pas parvenus à doubler la pointe opposée.

C'est une colonie magnifique, dont ces maudits Espagnols ne tirent aucun parti. Elle a plus de trente lieues d'étendue et serait susceptible de la plus grande culture. Il faut qu'elle vaille beaucoup, puisque votre ami, Fitz-Herbert, offrait de la prendre pour Gibraltar. De sa pointe occidentale, que nous atteignons, il n'y a plus qu'un canal, environ de vingt lieues, jusqu'à l'isle de St. Domingue: mais nous ne comptons être au cap français

---

Mówię sobie, aby się uspokoić: to co mam do wycierpienia, nie potrafiłoby być gorszem, niż to, co wycierpiałem. Z odrobiną odwagi poradzę sobie z tem i będę miał kiedyś nagrodę za wszystkie te cierpienia.

Staraj się, moje serce, którego nie umiem oszukać. Nasza podróż nie jest wcale przykrą. Widzimy prawie ciągle ziemię. Wczoraj płynęliśmy brzegiem Saint-Croix, małej wysepki, przynależnej do Duńczyków, którzy ją świetnie uprawiają. Gdybym nie był chory, byłaby mi jej urodzajność i zachwycający widok, jaki nam przedstawiała, sprawiały jeszcze większą przyjemność. Dziś rano spostrzegliśmy wschodni krańcowy punkt Porto-ricco. A w godzinie, w której to piszę, nie dotarliśmy jeszcze do opłynięcia punktu przeciwnego.

Jest to zachwycająca kolonia, z której ci przeklęci Hiszpanie nie ciągną żadnej korzyści. Ma ona więcej niż trzydzieści mil rozległości; nadawałaby się do największej uprawy; musi być dużo warta, kiedy Twój przyjaciel, Fitz-Herbert, zgadzał się przyjąć ją za Gibraltar. Z punktu krańcowego zachodniego, do którego dojeżdżamy, jest już tylko jeden kanał około dwudziestomilowy aż do wyspy San-Domingo: ale spodziewamy się być na

que lundi soir. Il faut cotoyer près de 70 lieues de côtes. Voilà ce que j'ai te dire pour le moment. Je t'embrasse de tout mon coeur (ce n'est pas une façon de parler).

Le 20. Juill. Dimanche.

Je me suis vanté de pouvoir arriver demain matin au cap; mais point du tout: nous n'y arriverons pas. Le vent est tombé depuis hier toute la journée. Vraiment la traversée de France m'effraye. Une saison avancée, des mers oragenses, des jours très courts — mais le bonheur de te revoir percera à travers de peines et des dangers. Dites moi, trouverai-je de tes lettres en arrivant ici: M'ecris tu souvent? Ce journal a-t-il lieu? Je crains que le demon ne soit plus fort; — que mon absence et mes ennemis ne me jouent quelque mauvais tour... L'exemple de Spa m'effraye. Cette cessation subite d'une passion qui faisait autrefois ton bonheur des embuches continuelles à ta facilité, des galants assidus, des ennemis adroits... Que de raisons d'inquietude

---

przylądku francuskim dopiero w poniedziałek wieczór. Potrzeba płynąć brzegiem około 70 mil. Oto co mam Ci do powiedzenia na teraz. Ściskam Cię z całego serca (nie jest to sposób mówienia).

20. lipca, niedziela.

Pochlebiałem sobie, że będę mógł dojechać jutro rano do przylądka; ale bynajmniej: nie przyjedziemy tam. Wiatr uspokoił się od wczoraj przez cały dzień. W istocie przejazd z Francyi przestraszał mię. Pora spóźniona, morze wzburzone, dnie bardzo krótkie — ale szczęście zobaczenia Ciebie przebije troski i niebezpieczeństwa. Powiedz mi, czy znajdę listy Twoje przyjechawszy tu: Czy pisujesz do mnie często? Czy ten dziennik ma miejsce? Boję się, aby szatan nie był mocniejszy odemnie; aby moja nieobecność i moi nieprzyjaciele nie wypłatali mi jakiego złego figla. Przykład Spa przestrasza mnie. Ta nagła rozłąka z uczuciem, które dawniej stanowiło Twoje szczęście, zasadzki ciągłe na Twoją przystępność, wytrwali adoratorowie, zręczni nieprzyjaciele... ile

pour un pauvre amant éloigné de 2.000 lieues. Seras-tu comme Agnès? Seras-tu comme Penelope? — Je te conseille de chercher à ressembler aux anciens. Tu sais, que je me suis toujours senti un grand fonds d'estime pour l'antiquité, et si tu veux me plaire, tu n'as qu'à suivre les errements de madame Ulysse. Je ne sais ce que tu est devenue. Je n'ai jamais été d'avis que le V-te te mena aux eaux de Bourbon, ou à... je ne sais où. Je n'aime pas ces promenades avec un homme, comme lui. Le méchant public n'imagine jamais, qu'il soit difficile à un amant de reprendre ses anciens droits, et je me souviens d'avoir pensé souvent comme ce méchant public quoique je sois tranquille sur ton compte. Mais la femme de César ne doit pas être soupçonnée. Je n'ai point conquis le monde, mais je pense comme César a cet égard... comme à l'égard de bien d'autres choses. Si tu savais tous mes projets tu chercherais bien à m'être chere, et à te ressembler toujours dans tes sentiments. Je crois qu'il n'y a personne, qui t'ait aimé comme moi, surtout qui se soit plus occupé à fonder son bonheur sur cet amour. Une pluie qui survient me force de finir, car je suis à découvert. Adieu.

---

przyczyn niepokoju dla biednego kochanka, oddalonego o 2.000 mil. Czy będziesz jak Agnieszka? Czy będziesz jak Penelopa? Radzę Ci, abyś starała się być podobną do starożytnych. Wiesz, że zawsze czułem wielki szacunek dla starożytności i jeżeli chcesz mi się podobać, to postępuj za błędami pani Ulysse. Ja nie wiem, co się z Tobą stało. Nigdy mi się nie zdawało, aby wicehrabia zawiózł Cię do wód w Bourbon, albo do... nie wiem gdzie. Nie lubię tych spacerów z mężczyzną, takim jak on. Złośliwa publiczność nigdy sobie nie wyobraża, aby kochankowi było trudno odzyskać swoje dawne prawa i ja pamiętam, że często myślałem tak, jak ta złośliwa publiczność, jakkolwiek jestem spokojny o Ciebie. Ale żona Cezara nie powinna być podejrzywaną. Wcale świata nie zawojowałem, ale myślę jak Cezar w tym względzie, jak w wielu innych rzeczach. Gdybyś znała wszystkie moje plany, bardzobyś się starała być mi drogą i być sobie zawsze podobną w swoich uczuciach. Zdaje mi się, że nie ma nikogo, któryby Cię kochał tak jak ja, szczególnie, któryby się więcej zajmował utwierdzeniem swego szczęścia na tej miłości. Deszcz, który nadchodzi, zmusza mnie do zakończenia, bo jestem na odkrytem miejscu. Żegnaj.

21. Juillet.

Nous cotoyons depuis trente six heures une terre inhabitée et sterile: des rochers semés, des quelques arbres, une seule petite bourgade sur près de 50 lieues de côte: n'offrent pas un spectacle bien agréable. La lenteur de notre marche nous donne le loisir de nous ennuyer tout à notre aise, en contemplani les tristes rescifs pelé, battus sans cesse par les flots de la mer. Demain nous serons au cap sur les quatre heures après midi. On vient de découvrir une pointe, qui s'apelle la Grange, et qui n'est distance que de 14 lieues de notre port... Cela assure notre arrivée, malgré la faiblesse de la brise. Il n'y a pas moyen de rendre cette partie de Journal intéressante. Point de sauvages sur la côte, qui nous attendent d'une main fière et menaçante — point de bêtes feroces... ni orages, ni tempêtes. Colomb, en abordant à cette isle. pour la première fois, ne la trouve pas aussi tranquille. cependant sa vue lui fit encore plus de plaisir qu'à moi...

Tu sais bien. que cherchant envain, pendant longtemps des terres nouvelles. son équipage. las des fatigues de ce long voyage, se revolta et le menaça de le jetter à la mer: il leur

---

21. lipca.

Od trzydziestu sześciu godzin płyniemy brzegiem ziemi niezamieszkałej i nieurodzajnej; skały zasiane kilkoma drzewami, jedno małe miasteczko na brzegu około 50-milowym: nie przedstawia to widoku bardzo przyjemnego. Powolność naszego posuwania się daje nam czas do nudów wedle upodobania, gdy się przypatrujemy smutnym, łysym urwiskom, o które ciągle uderzają fale morza. Jutro około czwartej po południu będziemy na przylądku. Dopiero co odkryto kraniec, który nazywa się Grange i jest oddalony od naszego portu o 14 mil... To zapewnia nasze przybycie pomimo słabości wiatru. Niema sposobu uczynić tej części dziennika zajmującą. Niema dzikich na brzegu. którzyby nas czekali z ręką dumną i gorącą — ani też dzikich zwierząt, ani burz, ani nawalnic. Kolumb, przybijając do tej wyspy po raz pierwszy, nie znalazł jej tak spokojną, jednak widok jej był dla niego jeszcze przyjemniejszy, niż dla mnie...

Ty wiesz dobrze, że szukając napróżno podczas długiego czasu nowych ziem, jego załoga. zniecierpliwiona i zmęczona długą podróżą, zbuntowała się i zagroziła mu, że go wrzuci do morza:

demanda deux jours de répit et le second ils aperçurent cette isle. La mort de ce grand homme et la découverte du nouveau monde ont tenu assurément à bien peu de chose.

Pour moi, je n'ai rien à découvrir de bien intéressant, — que tes lettres: et mon impatience la dessus augmente à chaque instant. Il y aura demain précisément trois mois, mais jour par jour trois mois — de mon départ de Paris. Te souviens tu de la nuit du 22. d'avril? D'un mardi? De notre dernier souper? De ce... de nos pleurs? Enfin de cette maudite barrière? — C'est là, où je te perdis: et depuis ce moment je n'ai eu aucun trace de ton existence. Tu peux t'imaginer, combien je dois être friand de tes nouvelles — et si la vue de ton écriture me fera du plaisir. J'espére, que tu n'as pas été plus de dix semaines sans mes lettres — car j'ai bonne opinion du vaisseau, qui t'a porté mes premières depêches de l'Amérique... et si je ne me trompe, tu les recevras au plus tard vers le 15 du mois prochain. Mardes moi, si ma supputation est juste, mais peut-être n'avais-je pas le temps de recevoir ta reponse? En tout cas, tu peux écrire à Mr. Peyre de me l'envoyer à Boston. On ne peut compter sur rien avec cette distance effrayante: il faut près de quatre mois, pour

---

on prosił ich o 2 dni zwłoki i na drugi dzień ujrzeli wyspę. Śmierć tego wielkiego człowieka i odkrycie nowego świata zależało od bardzo błahych rzeczy.

Co do mnie, nie mam nic zbyt interesującego do odkrycia, jak tylko Twoje listy: moja niecierpliwość w tym względzie powiększa się z każdą chwilą. Jutro będzie właśnie 3 miesiące, ale dzień za dniem 3 miesiace — od mego wyjazdu z Paryża. Czy pamiętasz noc 22-go kwietnia? Pewien wtorek? Naszą ostatnią kolacyę? Ten..... naszych łez? W końcu tę przeklętą rogatkę? Tam to Ciebie straciłem: od tej chwili nie miałem żadnego śladu Twego istnienia. Możesz sobie wyobrazić, jak muszę być łakomy nowin o Tobie — i czy widok Twego pisma zrobi mi przyjemność. Spodziewam się, że nie byłaś więcej jak 10 tygodni bez moich listów — bo mam dobre wyobrażenie o okręcie, który zaniósł Ci moje pierwsze depesze z Ameryki... i jeśli się nie mylę, Ty je otrzymałaś najpóźniej około 15-go przeszłego miesiąca. Donieś mi, czy moje obrachowanie jest sprawiedliwe... ale być może, że nie było czasu otrzymać Twoją odpowiedź? W każdym razie możesz pisać do pana Peyre, aby mi odesłał do Bostonu. Nie można na nic liczyć z tą straszną odległością; — potrzeba około

repondre; et il est très possible, qu'avant ce temps tu n'aies plus besoin de m'écrire. Que me donnerais-tu, si j'arrivais sans dire: Garde: — j'en suis souvent très tenté et je te conseille de te tenir longtemps sur tes gardes.

22. Juillet après midi (à St. Domingue). [1])

Je suis enfin descendu malade à terre — il y a une heure et j'ai déjà lû deux fois toutes Tes lettres: j'en tiens six, la dernière est du 18 de mai. Je vois avec une frayeur mortelle, avec un chagrin désespérant tes inquietudes, tes souffrances, tes soupçons — et tes injustices; et je me vois perdu dans ton coeur au moment, où je t'écris. Comment ton amour pourrait-il resister à sept mois d'absence? À toutes les ruses diaboliques des gens, qui t'entourent et qui me haïssent. Ah! C'en est fait! Sûrement à l'heure qu'il est, Julie n'est plus à moi. Je t'écris en trem-

---

4 miesięcy, aby odpowiedzieć i bardzo być może, że przed tym czasem nie będziesz potrzebowała pisać do mnie. Cobyś mi dała, gdybym przyjechał nie mówiąc: Baczność; — mam do tego często wielką ochotę i radzę Ci mieć się długo na ostrożności.

22. lipca po południu (w St. Domingo).

Chory wysiadłem w końcu, godzinę temu, na ziemię i przeczytałem już dwa razy wszystkie Twoje listy: trzymam ich sześć, ostatni jest z 18-go maja. Widzę ze śmiertelnym strachem, z rozpaczliwem zmartwieniem, Twoje niepokoje, Twoje cierpienia, Twoje podejrzenie i Twoje niesprawiedliwości — i widzę się zgubionym w Twoim sercu w chwili, kiedy piszę do Ciebie. Jak Twoja miłość mogłaby oprzeć się siedmiomiesięcznej nieobecności? Wszystkim szatańskim chytrościom, ludziom, którzy Cię otaczają i którzy Cię nienawidzą? Ah! Stało się! Z pewnością o tej godzinie Julia już nie jest moją. Piszę do Ciebie drżąc, zimny pot

---

[1]) W rękopisie: Continuation des lettres.

blant, une froide sueur coule sur mon corps. Je me sens vraiment très faible et presque anéanti. Ah! Mon coeur, pardonnes moi! Mais je ne puis te dire autre chose. Mon ame est bouleversée; je suis malheureux. Une santé derangée, un chagrin mortel, les influences malignes d'un climat embrasé. Tout cela, peut-être, terminera mes douleurs — et te coutera quelques larmes. Je me suis trouvé si mal, en t'écrivant cette après-midi, que j'ai été obligé de tout abandonner et de me coucher presque évanoui.

A 9 heures du soir.

Quelques heures de repos et un moment d'assoupissemen m'ont procuré un peu de tranquillité et je pourrais t'écrire avec plus de sang froid. Si tes yeux lisent froidement ces lignes, tu ne saurais te refuser un instant de pitié. Je suis assez mal, mais j'espére, qu'avec du regime la dyssenterie, qui s'est declarée avec violence, ne sera pas dangereuse. Le vaisseau, qui doit te porter cette lettre, ne part que demain et j'aurai le temps de t'instruire dans la journée de l'état de ma santé...

---

spływa po moim ciele. Czuję się w istocie bardzo osłabiony i prawie znieczulony. Ach! Moje serce, przebacz mi! Ale ja nie mogę powiedzieć Ci co innego. Moja dusza jest wzburzona; jestem nieszczęśliwy. Zdrowie popsute, zmartwienie śmiertelne, złośliwe wpływy ognistego klimatu — wszystko to, być może, zakończy moje cierpienia i będzie Cię kosztować kilka łez. Tak mi się zrrobiło słabo, pisząc do Ciebie dziś po południu, że byłem zmuszony wszystko porzucić i położyć się prawie zemdlony.

O 9 godzinie wieczorem.

Kilka godzin odpoczynku i chwilka drzemki przyniosły mi trochę spokoju; będę mógł pisać do Ciebie z bardziej zimną krwią. Jeżeli Twoje oczy czytają obojętnie te linie, nie będziesz mogła odmówić sobie chwili litości. Mam się dosyć źle, ale mam nadzieję, ze z dyetą dyzenterya, która się gwałtownie objawiła, nie będzie niebezpieczną. Okręt, który ma Ci zanieść ten list, odjeżdża dopiero jutro, będę miał czas zawiadomić Cię w ciągu dnia o stanie mego zdrowia...

Puisses tu y prendre quelque intérêt! Je vois par ta dernière lettre, que tu m'accuses à tort de ne t'avoir pas écrit à mon embarquement. J'ai envoyé à l'addresse du baron de Staël une lettre pour Toi, mais elle n'est peut-être partie de Bordeaux que le jour, où tu voulais qu'elle fut à Paris. Le pilote ne nous a quitté que le 16 et il lui fallait deux jours pour se rendre à la ville.

Si tu étais moins prompte à me soupçonner et si tu te fiais davantage à mon coeur, nous serions tous les deux plus heureux.

Je ne puis m'empêcher de te dire, que tu vois trop de fêtes, de soupers, de concerts, de spectacles. Bien loin de t'envier tes plaisirs (moi, qui voudrais que tes jours fussent filés d'or et de soie) j'admire seulement la facilité, avec laquelle tu te laisses entrainer à tout et je crains qu'elle ne te conduise à bien pis. Ces justes inquietudes pourront abréger mes jours: mais je me suis donné parole à moi-même de ne t'en plus parler et mes lettres en seront libres désormais. Sois heureuse, ma chère amie et ne t'attends plus aux reproches d'un homme, qui t'adore, mais qui voit son malheur écrit dans le livre ineffaçable du destin.

Obyś mogła mieć dla niego jakie współczucie. Widzę z Twego ostatniego listu, że niesłusznie mnie obwiniasz, że nie pisałem do Ciebie. wsiadając na okręt. Posłałem do Ciebie list pod adresem barona de Staël, ale on może wyszedł z Bordeaux w dniu, kiedy chciałaś go mieć w Paryżu. Sternik opuścił nas dopiero 16. i potrzeba mu było dwóch dni, ażeby udać się do miasta.

Gdybyś była mniej skorą do posądzania mnie i gdybyś oddawała się więcej memu sercu, bylibyśmy oboje szczęśliwsi.

Nie możesz mi przeszkodzić, bym Ci nie powiedział, że Ty widzisz nadto świąt, kolacyi, koncertów, przedstawień. Daleki od zazdroszczenia Ci Twoich przyjemności, (ja, którybym chciał, żeby Twoje dni były tkane nićmi ze złota i jedwabiu), podziwiam tylko łatwość, z którą Ty pozwalasz wciągać się do wszystkiego; boję się, żeby ona Cię nie zaprowadziła do rzeczy o wiele gorszych. Te słuszne niepokoje będą mogły skrócić moje dni: ale dałem samemu sobie słowo, nie mówić Tobie już o tem i moje listy będą odtąd od tego wolne. Bądź szczęśliwą, moja droga przyjaciółko i nie spodziewaj się więcej wymówek człowieka, który Cię uwielbia, ale który widzi swoje nieszczęście, wypisane w niezatartej księdze przeznaczenia.

Je te remercie du soin. que tu as pris d'arranger un peu mes mauvaises affaires. C'est encore un chagrin bien vif pour moi, que ma conduite à Paris et la manière cruelle. dont la plupart de gens sont prevenues contre moi. J'espére, si j'existe encor, de ne plus me trouver dans une pareille situation: elle est bien cruelle pour un honnête homme et mon coeur en saigne journellement.

On m'a remis ma montre à perles: je tâcherai de m'en defaire le mieux que je pourrai, pour subvenir aux frais du reste de mon voyage — mais je ne trouve pas le paquet, que Liegrais m'a envoyé.

Adieu, ma chère Ame, je causerai demain avec Toi.

(Sans datte).

J'espére, ma divine amie, qu'après mes dernières lettres il ne te reste plus aucun soupçons et que tu est bien persuadée d'être toujours le seul objet de mon adoration. En effet. quel est mon crime? Dois-je être le plus malheureux des hommes. parce-

---

Dziękuję Ci za trud, jaki sprawiłaś sobie pewnem uporządkowaniem moich złych interesów. Wielką jest dla mnie przykrością to moje prowadzenie się w Paryżu i okrutny sposób, w który większa część ludzi jest dla mnie uprzedzona. Spodziewam się, jeżeli będę jeszcze żył. że nie znajdę się w podobnem położeniu: jest ono bardzo przykre dla uczciwego człowieka i moje serce krwawi się z tego powodu codziennie.

Oddano mi mój zegarek z pereł: będę się starał zbyć się go, jak będę mógł najlepiej — ażeby podołać kosztom pozostałej podróży — ale nie znajduję pakietu, który Liegrais mi przysłał.

Z Bogiem. moja droga duszo, pomówię jutro z Tobą.

(Bez daty).

Spodziewam się, moja boska przyjaciółko, że po moich ostatnich listach nie pozostaje Ci już żadne podejrzenie i jesteś całkiem przekonaną. że zawsze jesteś jedynym przedmiotem mojego uwielbienia. W istocie, jaka jest moja zbrodnia? Czy muszę być

qu'il a plus à ces messieurs de me calommier. Mon absence est ma seul faute. Mais rapelle toi, quels en sont les motifs. Ce, qui devient à présent la cause d'un affreux malheur, devait être celle d'un bonheur durable. Et d'ailleurs, pouvais-je croire, que le coeur de Julie pusse changer pour moi? Que son ame fut aussi prompte à me condamner? Et qu'elle fut si facile à ajouter foi aux plus absurdes méchancetés — sans égard pour mon absence, sans considération pour mon état. Tu m'as accablée cruellement et mes ennemis se sont réjouis de te voir donner dans les filets qu'ils avait tendus à ta crédulité. Rapelle toi ce, que tu m'écrivais „Qu'il est absurde de dire du mal de toi: une seule lettre, un seul mot détruit tous mes soupçons et te fait triompher". Puissent tes paroles être prophetiques!... Leur verité m'epargnerait bien de chagrins. Mais je suis presque sûr, que ton coeur est encore à moi. — Ma santé est tout-à-fait détruite. Je suis obligé de quitter ce pays-ci et j'arriverai en France après cette lettre au plus tard un mois. Je descendrai chez toi et si je ne puis mourire dans tes bras, j'aurai du moins

---

najnieszczęśliwszym z ludzi, bo podobało się tym panom mnie oczerniać. Nieobecność moja jest moim jedynym błędem. Ale przypomnij sobie, jakie są jej powody. To, co staje się teraz przyczyną strasznego nieszczęścia, miało być przyczyną stałego szczęścia. I zresztą, czyż mogłem myśleć, aby serce Julii mogło zmienić się dla mnie? Aby jej dusza była tak skorą do potępienia mnie? I żeby była tak łatwą do uwierzenia najbardziej niemądrym złośliwościom — bez względu na moją nieobecność, bez szacunku dla mego stanu. Tyś mię przygnębiła okrutnie, a moi nieprzyjaciele radowali się, widząc Cię wpadającą w sieci, które zastawili na Twą łatwowierność. Przypomnij sobie, coś do mnie pisała, „że jest niedorzecznem mówić źle o Tobie: jeden jedyny list, jeden jedyny wyraz niszczy wszystkie moje podejrzenia i sprawia, że tryumfujesz". — Oby Twoje wyrazy mogły być prorocze!... Ich prawdziwość oszczędziłaby mi wiele zmartwień. Ale ja jestem prawie pewien, że Twoje serce należy jeszcze do mnie. — Moje zdrowie jest całkiem zniszczone. Jestem zmuszony opuścić ten kraj: przybędę do Francyi najdalej w miesiąc po tym liście. Zatrzymam się u Ciebie: jeżeli nie będę mógł umrzeć w Twoich ramionach, będę miał

le plaisir d'expirer à tes yeux. Les miens, en mourant, se fixeront sur toi et te diront, — combien tu as été injuste. Mais, quand même tu ne m'aimerais plus, — tu ne chasseras pas de chez toi — un malheureux malade — qui ne demande que rester deux jours chez toi... Tu ne lui refuseras pas la douce consolation de verser quelques larmes avec lui.

Quand même ton ressentiment et ta légèreté eussent pu te porter à me devenir infidele, je ne doute pas, que tu ne rompes ces faibles lieus, fondés sur une fausse supposition: Mes droits sont sacrés: Je viendrai, tes lettres à la main, te montrer les serments, qui te lient à moi... je réclamerai contre une prévention, qui detruit le bonheur de ta vie et de la mienne... et je te connais bien peu, si tu peux resister à ces gages sacrés.

Souviens-toi, quand me baignant de tes larmes, en me serrant entre tes bras, tu m'as juré de m'aimer à jamais. Peut-on aussi légérement abandonner ses sentiments? Qui pourrait désormais compter sur tes paroles? Et sur tes promesses — quand

---

przynajmniej przyjemność wyzionąć ducha w Twoich oczach. Moje oczy umierając, wpatrzą się w Ciebie i powiedzą Ci, — ile byłaś niesprawiedliwą. Ale gdybyś nawet nie kochała mnie więcej, — nie wypędzisz od siebie nieszczęśliwego chorego, który pragnie tylko 2 dni pozostać u Ciebie... Nie odmówisz mu słodkiej pociechy uronienia z nim kilku łez.

Gdyby nawet Twoja niechęć i Twoja lekkomyślność mogły doprowadzić Cię do niewierności względem mnie, nie wątpię, że zerwiesz te słabe więzy, zadzierżgnięte wskutek fałszywego podejrzenia: Moje prawa są święte. Ja przyjdę z Twoimi listami w ręku, aby pokazać Ci przysięgi, które łączą Cię ze mną... odwołam się do uprzedzenia, które zniszczyło szczęście Twego i mego życia... i chyba ja Cię bardzo mało znam, jeżeli będziesz mogła się oprzeć tym świętym zobowiązaniom.

Przypomnij sobie, kiedy oblewając mię swemi łzami i ściskając mię w swoich ramionach, przysięgałaś kochać mię zawsze. Czy można tak lekko rzucać swoje uczucia? Kto mógłby odtąd liczyć na Twoje słowa i na Twoje obietnicy — kiedy Ty niszczysz

tu détruis avec autant de légéreté un edifice aussi beau et aussi solide. Non, ma Julie, cela ne se peut: Tu es et seras toujours à moi... Tu ne peux renoncer à faire mon bonheur — sans te reprocher toute ta vie — cette injustice... et je suis plus tranquille maintenant.

Si tu ne m'eusses jamais aimé — quoique tu m'aies adoré, — si je t'éusse trahi, trompé — quoique tu aies été toujours mon idole et que je sois innocent de ce, qu'ont a écrit, ce que j'ai souffert depuis ta fatale lettre du 24. Juin, devrait seul me donner — me mériter ton coeur. En effet, quel tourment peut être plus cruel, que celui d'être pendant près de quatre mois dans une incertitude affreuse, dans la plus désespérante inquietude... déchiré par tous les soupçons... menacé par tous les malheurs? — Non; le sort d'un criminel, condamné à mort, n'approche point de l'horreur d'un état, comme le mien. Sans cesse en allarmes, il ne se passe de minute, que l'idée affreuse, de t'avoir perdu, ne revienne. Elle interrompt quelquefois une conversation commencée et me rend stupide et imbecille pour quelque temps.

---

z taką lekkością tak piękny i tak trwały gmach. Nie, moja Julio, to jest niemożliwe: Ty jesteś i będziesz zawsze moją... Ty nie możesz wyrzec się stworzenia mi szczęścia — nie wyrzucając sobie całe życie tej niesprawiedliwości... i ja czuję się obecnie spokojniejszym.

Gdybyś mnie była nigdy nie kochała, chociaż mnie czciłaś — gdybym ja Cię był zdradził, oszukał — chociaż byłaś zawsze moim bożyszczem i, że byłem niewinnym w tem, co o mnie pisano, to, co wycierpiałem od tego fatalnego listu z 24. czerwca, powinno by samo dać mi, zasłużyć mi na Twoje serce. W istocie, jaka męczarnia może być okrutniejszą, jak być w ciągu blisko 4 miesięcy w strasznej niepewności, w najrozpaczliwszym niepokoju, być szarpanym wszelkiemi podejrzaniami... zagrożonym wszelkiemi nieszczęściami? Nie; los zbrodniarza, skazanego na śmierć, nie zbliża się nawet do okropności stanu takiego jak mój. Bez ustanku w obawie, ani jedna minuta nie przemija, aby nie powracała straszna myśl utracenia Ciebie. Ona przerywa niekiedy rozpoczętą rozmowę i czyni mnie nieprzytomnym i osłupiałym na jakiś czas.

Dis même, s'il le faut, que tu est mariée avec moi; je ne te désavouerai pas. Je ferai tout, pour assurer ton bonheur: car je sens que le mien en dépend. Que seras-tu. maitresse? Abandonnée peut-être dans peu. Tu sais les prejugés de ta nation: Tu n'est point faite pour rester dans cet état. Avec moi tu seras une femme adorée à jamais et respectée de mes parents. Tu as desiré plus d'une fois de faire une action peu commune — un sacrifice généreux à ton amant. Eh bien! En voilà l'occasion! Arrache-toi des bras d'un seducteur, si tu as eu le malheur d'y tomber. Romps tous ces lieus — et fais voir, que tu as une ame, qui gouverne — un corps et que tu n'es pas toujours esclave de tes sens.

Demandez vous, si une femme honnête et sensible, qui ne suit pas aveuglément les premières fougues de son tempérament, peut changer avec autant de facilité — sur les simples apparences d'être trompée?

Powiedz nawet, jeśli tego potrzeba, że jesteś zaślubioną ze mną: ja się Ciebie nie zaprę. Zrobię wszystko, aby zapewnić Twoje szczęście: — bo czuję, że od niego zależy moje szczęście. Czem będziesz, kochanką? Aby być może wkrótce opuszczoną. Ty znasz przesądy narodowe: Ty nie jesteś stworzoną, aby pozostawać w takim stanie. Ze mną będziesz kobietą ubóstwianą na zawsze — i szanowaną przez moich krewnych. Nieraz pragnąłeś wykonać czyn nadzwyczajny — wspaniałomyślne poświęcenie się Twemu kochankowi. A więc! Oto właśnie sposobność! Wyrwij się z objęć uwodziciela, jeżeli miałaś nieszczęście wpaść w nie. Zerwij te wszystkie więzy — i pokaż, że masz duszę, która rządzi ciałem i że nie jesteś zawsze niewolnicą swoich zmysłów.

Zapytajcie siebie, czy kobieta uczciwa i czuła, która nie idzie ślepo za pierwszemi wrażeniami swego temperamentu, może zmienić się z taką łatwością, wskutek prostych pozorów, że jest oszukaną?

II. Lettre de Julie.

Lundi 28.

Vous, que j'adorais, pour qui j'ai tout sacrifié, vous, à qui j'aurais donné ma vie — si vous l'eussiez demandé. — Est ce bien Vous, qui me donnez la mort? Est-ce Vous, qu'avez pû jouir du plaisir barbare — d'avilir le coeur, qui se livrait à Vous? D'y porter l'opprobre, en abusant indignement de sa confiance de l'excés de sa tendresse. — N'attendez-pas, que je vous peigne ma douleur — je ne demêle plus ce, qui se passe dans moi-même. Je ne sais ce, que je veux, ce, que je dois... mon agitation est affreuse, ma raison peut s'en atterer.

Quoi? vous n'avez tenu à moi par aucun lieu et je les ai tous brisés pour Vous! — Quoi, même dans cet instant — dont le souvenir m'est horrible, où toute entiere à l'amour, sa violence jusques à ma faiblesse... dans cet instant votre coeur, rempli par une autre, glacé pour moi, se séparait de l'ivresse de vos sens;

II. List Julii.

Poniedziałek 28.

Ty, którego ubóstwiałam, dla którego wszystko poświęciłam, któremu byłabym oddała swoje życie, gdybyś był poprosił o nie. Czy to rzeczywiście Ty jesteś, który mi zadajesz śmierć? Czy to Ty, który mogłeś używać dzikiej przyjemności upokarzania serca, które Ci się oddało? Wnosić do niego hańbę, nadużywać niegodnie zaufania, zbytku jego czułości. Nie czekaj, abym Ci malowała moją boleść. Nie mogę już rozróżnić, co się we mnie dzieje. Nie wiem czego chcę, co powinnam: moje wzburzenie jest straszne, mój rozsądek może ustąpić.

Co? — Ciebie nie łączył ze mną żaden węzeł, a ja je wszystkie zerwałem dla Ciebie! — Co, nawet w tej chwili, której wspomnienie jest mi straszne, kiedy cała oddana miłości, jej gwałtowność — aż do mojej słabości... w tej chwili Twoje serce, zajęte przez inną, zamarłe dla mnie, rozłączało się z upojeniem Two-

et je puis vivre encore? — Vivre et ne pas vous haïr? Suis-je assez humiliée, assez punie de mon funeste amour? — Ah! Sans doute! Le ciel me devait une vengeance terrible, proportionnée aux droits sacrés, que j'ai trahis. Je suis coupable. Je la suis à mes yeux, à ceux de l'univers... mais aux vôtres, cruel! De quel crime me suis-je donc couverte? M'en avez vous fait un de vous aimer? D'oser attaquer le coeur, que Julie possédait? — Julie... j'ai pû tracer ce nom sans mourir! Vous l'adorez et vous pouviez m'écrire: „Le Dieu, qui a presidé à notre liaison, la protegera. Elle fera, si vous voulez m'en croire, le bonheur de votre vie et de la mienne. Ne vous obstinez pas sans raison à le detruire. Un siècle se passe sans le voir naître — et un instant le détruit!..“ Il est arrivé cet instant fatal! Et ce n'est pas pour vous, que le charme cesse. Votre coeur ne sera pas plus ému de me perdre, qu'il ne l'a été de me posseder. N'apprendrais-je jamais, quel sentiment Vous arma contre moi? Cette maitresse chérie Vous demandait-elle ces victimes? Fallait-il pour lui plaire immoler l'être sensible, qui venait sans défense

---

ich zmysłów; i ja mogę żyć jeszcze? Żyć i nienawidzieć Ciebie? Czy jestem dość upokorzona, dość ukarana za moją nieszczęsną miłość? Ach! Bezwątpienia! Niebo winno mi było zemstę straszną, odpowiednią do świętych praw, które zdradziłam. Jestem winną. Jestem nią w moich oczach i w oczach całego świata... ale w Twoich, okrutny, jakim występkiem się okryłam? Czy liczysz mi za występek to, że Cię pokochałam? — Że śmiałam dobijać się serca, które Julia posiadała? Julia... mogłam napisać ten wyraz i nie umrzeć! Ty ją czcisz i mogłeś do mnie pisać: „Bóg, który przewodniczył naszemu związkowi, będzie go ochraniał. Ten związek, jeżeli chcesz mi wierzyć, stworzy szczęście życia Twego i mego. Nie upieraj się bez przyczyny, aby je zniszczyć — wiek mija, nie widząc je rodzące się — a jedna chwila je niszczy...“ Ta chwila fatalna nastała! I nie dla Ciebie ustał czar. Twoje serce nie będzie bardziej wzruszone, tracąc mię, aniżeli było, kiedy mię posiadło. Czy się nigdy nie dowiem, jakie uczucie uzbraja Cię przeciwko mnie? Czy żąda od Ciebie tych ofiiar ta droga kochanka? Czy aby się jej podobać, potrzeba było poświęcić istotę czułą, która przyszła wystawić się bezbronnie na Twoje

se présenter à vos coups? A-t-elle du moins payé le sacrifice du redoublement de son amour? Mais non, ce n'est point elle, qui commande tant d'inhumanité. On me l'a peinté sensible, douce, honnête dans son état. Peut-être serait-elle plus que Vous, capable de pitié sur mon sort... Peut-être est-elle plus digne d'apprécier le coeur que Vous avez blessé avec calme, le sang froid réfléchi d'une cruanté profonde. C'etait donc là... „Ce sentiment vif et doux, qui dans un instant seul efface les peines d'un siècle ce sentiment, qui elève l'ame des mortels, leur donne une force suffisante pour supporter le malheur pour sentir le malheur d'une manière peu commune — il animait votre coeur, il se cachait au fond du mien". Oui, cruel, il exista dans le mien... Je l'y retrouve encore. Vos outrages... ma douleur... ma honte rien ne change ce coeur. Tout, jusques à mes faiblesses, vous est garant de sa constance. Vous m'avez rendu la plus malheureuse des creatures; et rien ne peut à présent me détacher de Vous. Quel tourment égale celui — d'aimer, malgré soi? D'aimer avec la certitude de ne l'avoir jamais été... de ne l'être jamais... de n'inspirer que du mépris.

---

razy? Czy tamta zapłaciła przynajmniej za tę ofiarę podwojeniem miłości? Ale nie, to wcale nie ona nakazuje taką nieludzkość. Przedstawiono mi ją jako czułą, łagodną, uczciwą w swoim stanie. Być może, że byłaby ona więcej jak Ty zdolną do litości nad moim losem... Może ona jest godniejszą ocenić serce, które Ty zraniłeś ze spokojem, z zimną krwią, pełną rozmyślności i głębokiego okrucieństwa. Było to więc... „To uczucie żywe i słodkie, które w jednym momencie maże troski wieku — to uczucie, które podnosi duszę śmiertelników, daje im siłę dostateczną, aby znosić nieszczęście, aby czuć nieszczęście w sposób niezwykły — ono ożywiało Twoje serce i kryło się w głębi mego". — Tak okrutny, to uczucie istnieje w moim sercu. Ja je tam odnajduję jeszcze. Twoje zniewagi, moja boleść, mój wstyd, nic nie zmienia tego serca. Wszystko aż do mojej słabości zapewnia Cię o jego stałości. Uczyniłeś mię najnieszczęśliwszą z istot; nic nie może teraz oderwać mię od Ciebie. Jaka męczarnia równa się temu — kochać pomimo siebie? Kochać z przekonaniem, że się nigdy nie było kochaną i że się nigdy nią nie będzie... że się wzbudza tylko wzgardę.

Est-il donc vrai? Votre ame est-elle fermée pour moi à toute autre impression? Mes plaintes ne pourront-elles t'attendrir?... Ah! Ne détournez pas vos yeux, de grâce, lisez encore... voyez jusqu'où va mon amour. Tout vous condamne... lui seul vous excuse. Peut-être m'avez Vous cru moins sensible, moins delicate. On dit, qu'il y a des femmes, que le partage n'irrite point; que d'autres ne connaissent, ne prisent de l'amour que les jouissances, qui le dégradent, séparent du sentiment. En me confondant avec elles, vous avez cru faire assez pour moi de m'offrir ces odieux plaisirs. Vous m'avez offensé par cette fausse opinion; mais je ne Vous écris pas, comme Vous pouviez douter de ma sincerité vous pouviez me croire ce, que Vous étiez pour moi. Il me serait bien plus douloureux de penser, que rendant justice à mon ame, y lisant toute la force, toute la purete de mon amour; Vous n'avez cherché à exercer sa sensibilité que pour mieux connaître les moyens de la blesser mortellement. Non, je ne puis supposer un caractère aussi atroce à celui, que j'adorai — que j'adore encore. Mon coeur ne peut briser l'idole, qu'il s'est formée. L'amour lui prête encore tous ses charmes. L'année dernière à ce bal, auteur de tous mes maux, à ce bal,

---

Jest więc to prawdą? Czy Twoja dusza zamknięta jest dla mnie na wszystkie inne wrażenia? Czy moje skargi nie potrafią Cię wzruszyć?... Ach! nie odwracaj Twoich oczu, przez litość, czytaj jeszcze... patrz dokąd idzie moja miłość. Wszystko Ciebie potępia... Ono jedno Cię uniewinnia. Być może, sądziłeś, że jestem mniej czułą, mniej delikatną. Powiadają, że są kobiety, których rozłąka nie drażni; że inne znają i cenią w miłości tylko rozkosze, które je poniżają, oddzielają od uczucia. Mieszając mię z niemi, sądziłeś, że dość robisz dla mnie, obdarzając temi wstrętnemi przyjemnościami. Obraziłeś mię tem fałszywem mniemaniem; ale ja nie piszę Ci, jak mogłeś powątpiewać o mojej szczerości — Ty mogłeś wierzyć, czem byłeś dla mnie. Byłoby dla mnie boleśniejszem myśleć, że oddając sprawiedliwość mojej duszy, czytając w niej całą siłę i całą czystość mojej miłości, starałeś się ćwiczyć jej czułość tylko dla tego, aby lepiej poznać sposoby skaleczenia jej śmiertelnie. Nie, ja nie mogę przypuścić charakteru tak okrutnego, jak ten, który czciłam i który czczę jeszcze. Moje serce nie może zniszczyć bożyszcza, które sobie stworzyło. Miłość użycza mu swoich wdzięków. Przeszłego roku na tym balu, twórcy wszystkich moich cierpień, na tym balu, który nienawidzę, na

que j'abhorre, où je ne paraîtrai jamais, je parlais au baron de Staël; Vous vintez à lui... Après Vous avoir regardé, il me fut impossible de ne pas vous regarder encore et chaque fois que je vous retrouvai, votre vue me détourna de l'objet, qui m'occupait au moment où vous passiez. Peu de jours après je soupai chez le baron: il me parlait du bal des Gardes du Corps, où une femme, qu'il croyait être moi l'avait fort intéressé. Il me dit, qu'elle vous avait beaucoup parlé. A votre nom je me troublai si etrangement, que le baron s'en aperçut crut m'avoir deviné, et n'attribua mon embarras qu'au dépit de me voir reconnu. Je revins encore au bal. Mes yeux Vous chercherent en entrant. Je n'avais point de projet: je ne savais, pour quoi je voulais vous voir. mais je vous cherchais tant qu'enfin je vous trouvais. J'aurais voulu Vous parler, je ne scus que vous dire... et je finis par vous demander, où était le baron de Staël; Vous etiez avec des masques, qui vous amusaient et vous me reçutez fort mal. Je m'en sentis assés piqué, pour ne plus vous chercher: mais je parlai de Vous, on me fit votre eloge. Je n'en ai encore perdu un mot et dans le cours de l'annuée, que je passais sans Vous voir, mon souvenir me retraça souvent le bien qu'on m'avait dit de

---

którym się nigdy nie zjawię, rozmawiałam z baronem de Staël; Ty przyszedłeś do niego. Gdy spojrzałam na Ciebie, nie podobna mi było nie patrzeć na Ciebie jeszcze i każdym razem, jak Cię odnajdywałam Twój widok odrywał mię w chwili, gdy przechodziłeś. od przedmiotu, który mię zajmywał. W kilka dni potem byłam na kolacyi u barona; on mi mówił o balu Gardes du Corps, gdzie jedna kobieta, ktorą brał za mnie, bardzo go zajęła. Powiedział mi, że ona dużo do Ciebie mówiła. Na Twoje imię zmięszałam się tak dziwnie, że baron spostrzegł to i sądził, że mnie odgadł, przypisując moje zakłopotanie niezadowoleniu, że mnie poznano. Powróciłam jeszcze na bal. Gdy wchodziłam, szukały Cię moje oczy. Nie miałam żadnego zamiaru, nie wiedziałam dlaczego chciałam Ciebie widzieć, ale szukałam Cię tak długo, że w. końcu Cię znalazłam. Chciałabym była mówić do Ciebie, ale nie wiedziałam, co Ci powiedzieć... i w końcu zapytałam Cię, gdzie baron de Stael. Ty byłeś z maskami, które Cię zabawiały i przyjąłeś mię bardzo źle. Uczułam się tem dość dotkniętą, aby Cię więcej nie szukać; ale mówiłam o Tobie, wychwalano mi Ciebie. Nie straciłam dotąd ani jednego słowa i w ciągu roku, który spędziłam, nie widząc Ciebie, moja pamięć przypominała

Vous. Enfin au premier bal de cette année, où je vous aperçus, la palpitation de mon coeur fut si violente que de peur de me trouver mal, je fus obligée de m'appuyer près d'une loge, ne trouvant pas sur quoi m'asseoir. Vous repassates souvent près de moi et j'appercevais ma situation indéfinissable. Vingt fois je fus prête à vous parler, sans pouvoir en trouver le courage. Je risquai pourtant quelques mots, aux quels Vous repondites à peine. Je fus découragée: je jurai de ne plus y revenir et si j'avais quitté le bal dans ce moment, j'etais sauvée! A quoi tient notre destinée? — Tout le monde était parti. M-de de Gou... et de Mon... avec lesquelles j'etais, s'amusaient de ma conversation. — Avec le C-te de ... cependant nous partions. Vous passez. Je ne puis resister au plaisir de prononcer Votre nom... de fixer une minute votre attention. Vous vous arrêtés: Vous m'écoutés pour la première fois. Animée par le plaisir de Vous voir, de vous entendre, je retrouve enfin le pouvoir de Vous parler. Mais je tremblais de rester seule avec Vous. Quand ces dames me quittèrent, pour chercher les autres, je le craignais. je le désirais à la fois. Vous partites le premier et je devins si maussade. que

---

mi często to, co dobrego mówili mi o Tobie. W końcu na pierwszym balu tegorocznym, gdzie Cię spostrzegłam, bicie mego serca było tak gwałtowne, że z obawy, aby nie zemdleć, nie mając na czem usiąść, zmuszoną byłam oprzeć się o loże. Ty przechodziłeś często koło mnie i spostrzegałam, że moje położenie było niewyraźne. Dwadzieścia razy byłam zdecydowaną mówić do Ciebie, nie znajdując do tego odwagi. Zagadałam jednak kilka słów, na które Ty zaledwie odpowiedziałeś. Byłam zniechęconą: przysięgałam nie powracać więcej do tego i gdybym była opuściła bal w tej chwili, byłabym wyratowaną. Od czego jednak zależy nasze przeznaczenie? Wszyscy odjechali. M-de de Gou... i de Mon... z któremi byłam, bawili się rozmową ze mną... Odjeżdżałam jednak z hr. de ... Ty przechodziłeś. Nie mogłam odmówić sobie przyjemności, aby nie wymówić Twego imienia — nie zatrzymać na chwilę Twojej uwagi. Zatrzymałeś się: słuchałeś mię po raz pierwszy. Ożywiona przyjemnością widzenia Ciebie, słyszenia Ciebie, odzyskuję wreszcie moc mówienia z Tobą. Ale drżałam z chęci zostania z Tobą sama. Gdy te panie mię opuściły, by szukać inne. pragnęłam tego, ale i obawiałam się zostać z Tobą sam na sam. Ty odjechałeś pierwszy, a ja stałam się tak

le C-te Louis me laissa bientôt en liberté. J'emportai delors votre image et je commençai à redouter ma sensibilité. Je me promis de ne plus Vous parler — et par ma presomption trop mal fondée, je m'exposai au danger d'en être tentée et je succombai. Ce ne fut pourtant pas sans combats: il me conduisirent même très-avant dans la nuit. Je voulus passer pour l'amie du masque, qui Vous avait parté. Vous ne me reconnutes pas, ou Vous le feignites; vous sçutes me dire les choses les plus flatteuses de ce masque et vous ne disiez pas un mot, qui ne trouva la place dans mon coeur. Je me rapelle encore le moment, où pour fair asseoir Mr. du Plessis... troublée, ne sachant ce que je faisais, je le plaçai entre Vous et moi. Le mouvement, que vous fites pour vous en aller, me pénétra et quand vous revintes près de moi, peu s'en fallut que je ne pressai votre main sur mon coeur, pour vous remercier. Ce même jour, je ne sais comment nous parlâmes du Vicomte. Le jugement que Vous en portâtes — le peu de raport qui paraissait entre votre façon de penser et la sienne, tout preparait mon ame à une confidance excessive. Insensée que j'étais. Ne m'avait-t-on pas dit que les hommes ex-

---

nadąsaną, że hrabia Ludwik zostawił mię wkrótce swobodną. Odtąd uniosłam Twój obraz i zaczęłam się obawiać mojej czułości. Obiecałam sobie nie mówić więcej z Tobą i przez moją źle uzasadnioną zarozumiałość wystawiałam siebie na niebezpieczeństwo pokusy i ulegałam jej. Nie było to jednak bez walki: one mię zaprowadziły nawet bardzo późno w nocy. Chciałam uchodzić za przyjaciółkę maski, która z Tobą mówiła. Ty mię nie poznałeś, czy też udawałeś: umiałeś jednak mówić mi rzeczy o tej masce najpochlebniejsze i nie powiedziałeś ani jednego słowa, któreby nie znalazło miejsca w moim sercu. Przypominam sobie jeszcze chwilę, w której, aby usadowić pana du Plessis... zmieszana, nie wiedząc co robię, umieściłem go między sobą a Tobą. Ruch, który zrobiłeś, aby odejść, dotknął mnie i gdy powróciłeś do mnie, nie wiele brakowało, abym nie przycisnęła Twojej ręki do mego serca, aby Ci podziękować. Tego samego dnia, nie wiem w jaki sposób, mówiliśmy o wicehrabi. Sąd, który o nim wydałeś — mała zgodność, jaka wydawała się istnieć między Twoim sposobem myślenia i jego, wszystko przygotowało moją duszę do nadzwyczajnego zwierzenia się. Byłam szaloną. Czyż mi nie mówiono, że mężczyźni wyrażają doskonale to, czego nie czują; a ja

priment parfaitement ce, qu'ils ne sentent pas; et je vous croyais! Lorsque Vous me demandâtes de Vous donner un moyen de me voir, il me vint dans la pensée de Vous indiquer le Colisée — sans concevoir encore les moyens de m'y trouver. J'y revai toute la nuit. Tantôt je me disais que vous n'y viendriez pas; l'instant après j'espérai Vous y voir. Je ne pus pas dormir...

Ci wierzyłam! Gdy mię prosiłeś, abym Ci podała sposób widzedzenia siebie, przyszło mi na myśl wskazać Ci Colizeum — nie wyobrażając jeszcze sobie sposobu odnalezienia się tam. Śniłam o tem całą noc. Raz sobie mówiłam, że Ty tam nie przyjdziesz: to znowu miałam nadzieję, że Cię tam ujrzę. Nie mogłam wcale spać.... !

(Ciąg dalszy nastąpi).

Włodzimierz Antonowicz.

Nad Dnieprem, w prastarym Kijowie zapadło wieko trumny nad zwłokami człowieka, który całą umiejętność, wiedzę naukową i talent wysilał na to, by zaprzeczyć ideałom, którym hołdował w młodości szumnej a górnej.

Dziwna była to postać, dziwna ewolucya przekonań, poczynając od lat uniwersyteckich, kiedy Antonowicz odgrywał wśród młodzieży tyle wybitną rolę, a kończąc na obwieszonym rossyjskimi orderami, osypanym tytułami profesorze kijowskiego Uniwersytetu.

Jaką będzie pamięć jego naukowej działalności, dzisiaj już dwóch zdań nie ma: sąd musi wypaść zgodny i bardzo ostry, jeśli bezstronność zdoła usunąć na bok tendencye i względy polityczne. Sylwetkę jednak tego interesującego bądź co bądź człowieka poznać warto, a posługujemy się w danym wypadku słowami rozgłośnego w swoim czasie poety i najbliższego towarzysza Antonowicza, Leonarda Sowińskiego, który 13. maja 1867 roku pisał z miejsca swego wygnania w Szczygrach, (gdzie pokutował za redakcyę adresu szlachty podolskiej do cara), do kolegi uniwersyteckiego, dziejopisa Podola, Dra Antoniego J. (Rollego):

„Ciekawy to i poniekąd historyczny człowiek. Poznałem go w B..., gdzie bywał u matki, bawiącej nieraz u brata swojego, byłego adwokata G. Była to rozumna i oczytana kobieta, lecz z namiętnem prawie przywiązaniem do syna łączyła straszny macierzyński despotyzm. Miałem szczęście, sam jeszcze będąc czter-

nastoletnim chłopcem, zjednać sobie łaskawe względy pani Antonowiczowej. Nieraz popisując się przedemną rozległemi wiadomościami swojemi (zaczerpniętemi po większej części z francuskich książek) i dowcipem rzeczywiście niepospolitym, opowiadała mi ona dziwy o swoim jedynaku, którego za kilka lat zaledwie spodziewała się widzieć, gdyż był natenczas w jakimś francuskim pensyonie w Odessie. Nareszcie zapowiedziany czas nadszedł i poznałem ów cud chodzący.

Był to mały, z posępną, lecz myślącą twarzą człowieczek, niezgrabiasz i mruczek nielada, od którego tylko przemocą kilka słów wymódz się udawało. Na pierwszym wstępie, w obecności syna matka mnie uprzedziła, że nie jest on tak głupim, jak się wydaje. Rzeczywiście, gdy rozmiłowana w nim staruszka natarczywemi pytaniami zmuszała go do popisu, odpowiadał logicznie i zwięźle, lecz z widoczną niechęcią. Zdaje się, że główną przyczyną takiego zamknięcia się w sobie ze strony młodego milczka, było usposobienie umysłu wbrew przeciwne wszystkim widokom matki. Tej ideałem był towarzyski polor i encyklopedyczna rozmaitość wiedzy; tamtego pociągały więcej gminne podania, analiza krytyczna, statystyka i dzieje. Towarzyskiego życia, w pospolitem znaczeniu tego wyrazu, nie lubił i zdolnym się doń nie czuł. Widoczne to było i w zaniedbaniu powierzchowności, odstręczającem prawie. Słusznie go nazywano odludkiem i abnegatem.

Będąc jeszcze szesnastoletnim chłopcem, najchętniej szukał towarzystwa włościan i dzieci, i dość łatwo zjednywał sobie ich życzliwość. Matka, nie radząc się upodobań syna, a może i wbrew swym własnym, poświęciła na ten raz marzenia spodziewanym korzyściom materyalnym i nakazała synowi wstąpić na medycynę. Usłuchał jej bez wszelkiego oporu i jedynie po pięciu latach śmierć matki pozwoliła mu rzucić niemiły zawód i oddać się całkowicie naukom społecznym.

Jako starszy o parę lat w uniwersyteckim zawodzie, zaproponowałem Antonowiczowi wprowadzenie go do kółka najbliższych mi, a odznaczających się charakterem i prawością kolegów. Nie wiem dlaczego nie przyjął mojej ofiary, a otoczył się maleńką koteryą, która natenczas (1851—1854) upodobała sobie nazwę l i t e w s k i e j, chociaż niesłusznie, bo zaledwie czterech czy pięciu Litwinów liczyła.

Na kilka lat straciłem z oczu Antonowicza. Sądziłem, że oddany jest całkowicie pracy fachowej. Nareszcie w jesieni 1854 roku zetknąłem się niespodzianie z całą pomienioną koteryą. Ba-

wiła się czytaniem najzajadlejszych pamfletów i paszkwilów demagogicznych.

Bardem jej był niejaki Tadeusz K..., który dziwnie jednoczył w sobie niepospolite poetyczne zdolności ze straszliwą zgnilizną ducha. W ośmnastym roku życia był już nałogowym pijakiem, oszustem i podchlebcą. Za szklankę wódki, za szczyptę kadzidła dla szalonej niemal swojej ambicyi, za jakiś dar upokarzający, pisał udatnym (choć zawsze niesamoistnym) wierszem poematy, dytyramby, paszkwile i t. p.; najczęściej w duchu Maratowskim, acz nieraz, według potrzeby, w Polowską rycerskość i w ewanieliczność Krasińskiego (n. p. w poemacie: „Wczora i dzisiaj“) się wdawał.

Potęgę krytyko-filozoficzną koteryi owej przedstawiał sam Antonowicz. Zauważyłem tam jeszcze braci G... i braci O... Ci już nie wiem co reprezentowali. Zdaje się, jeden — dowcip, drugi — bezinteresowną zamożność, a reszta — prawość nieposzlakowaną.

Może w obozie tym i było co dobrego: marzenie o podniesieniu ludu prawdopodobnie, lecz przedewszystkiem uderzał tam cynizm i nienawiść ku wszelkiej wyższości. Był to zarodek rozkwitłej w sześć lat potem chłopomanii. Jedne już wakacye letnie poświęcone zostały pieszym wędrówkom po Polesiu wołyńskiem, lecz podobno apostołowie, potężnie jeszcze niedowarzeni, ograniczali się na pijatyce z włościanami i szlachtą czynszową i nieśmiało tylko przebąkiwali o prawach poniżonego gminu.

Latem 1855 roku zrobił mi Antonowicz propozycyę w duchu kozacko-szlacheckim, której nie przyjąłem. W tymże roku śmierć matki rozwiązała mu ręce, jednakże skończył medycynę ze stopniem lekarza i następnie przeniósł się na wydział literacki.

W roku 1856 obudził się ruch w Uniwersytecie, lecz wcale inni ludzie stanęli na jego czele. Wkrótce jednak powołano i Antonowicza do robót konspiracyjnych, bo rzeczywiście pomiędzy akademicką młodzieżą stanowił on potęgę nielada. Pozornie poszedł on zgodnie z innymi, a nawet na polu tem zrobił niemało, lecz cichaczem formował koteryę własną, której nakazywał trzymać z ogółem pozornie tylko. W przeciągu kilku lat był on nauczycielem zdolnego i bogatego T. R., lecz haniebnie zdradzał zaufanie rodziców, bo rozwijając chłopca pod względem naukowym, podkopywał w nim wszystkie tradycyjne zasady: narodowe, rodzinne i religijne, a przytem natchnął go nieszczerością własną tak, że rodzice w przeciągu kilku lat ani domyślali się prawdy.

Od 1859 roku mieszkałem najczęściej w Kijowie i tam zbliżyliśmy się z Antonowiczem na dobre. W tym też czasie zaczęła bruździć chłopomania. Antonowicz wypierał się wszelkiej solidarności z chłopomanami, a utrzymywanie stosunków z nimi tłumaczył widokami wyższymi. Ogół długo mu wierzył — i to właśnie powodowało częste nieporozumienia pomiędzy młodzieżą i obywatelstwem. Jednakże coraz widoczniejszą stawała się nieszczerość Antonowicza, którego celem było wyzyskiwanie sił szlachetniejszych dla widoków swojego stronnictwa. Dla rozpoznania prawdy, zbliżyłem się ściślej z koteryą chłopomańską i udało mi się dotrzeć do najrdzenniejszych jej zasad. Podejrzenia ogółu okazały się aż nadto słuszne. Wywołało to zerwanie moje z Antonowiczem, zerwanie zapieczętowane znanymi ogólnie listami; z jego zaś strony spowodowało otwartsze postawienie *credo* swojego, które go przerzuciło do innego obozu.

Jeszcze w 1861 roku porozumiał się on osobiście z Kuliszem i Biełozierskim; następnie podał księciu Wasylczykowowi poufny memoryał o Ukrainie; potem zbliżył się do Iwaniszewa i Józefowicza i został członkiem Komisyi archeograficznej kijowskiej. W 1862 roku ożenił się z córką księdza ruskiego, a w następnym wydał dziełko, w którem dowodzi, że włościanie ukraińscy pochodzą w prostej linii od bojarów, ledwie że nie od książąt ruskich..."

Tyle Leonard Sowiński.

. . . .

Ciekawe szczegóły podaje w *Kraju* petersburskim (Nr. 61) pan W. C. „Mniej więcej w 1863 r. — pisze on — przyjął Antonowicz prawosławie, został urzędnikiem kancelaryi generał-gubernatora, ściślej Komisyi archeograficznej, której prezesami są z urzędu generał-gubernatorowie kijowscy.

Komisya ta, zwana urzędownie „Komisyą tymczasową do uporządkowania akt dawnych", jest to instytucya, istniejąca od 70 lat blisko i mająca na celu dostarczanie kancelaryi generał-gubernatora materyałów na udowodnienie jakiejś tezy prawno-państwowej. Trzeba dowieść, że szlachta ukraińska to Rossyanie czystej wody, że trzeba ją odpolszczyć i wrócić na łono Cerkwi prawosławnej — komisya wydaje odpowiednie studyum; trzeba udowodnić, że ucisk katolików, to tylko odwet za ucisk niesłychany, jaki znosili prawosławni na Rusi, więc pisze się drugie studyum; trzeba wydać ustawy, wymierzone przeciw Żydom, więc

się zbiera „dokumenty“, udowadniające wszelkie bezeceństwa tego plemienia i t. d. W pracy tej uczestniczył w charakterze urzędnika. Wł. Antonowicz, najpierw jako zwykły referent, później jako redaktor naczelny. W wolnych chwilach uzyskał stopień magistra za rozprawę: „Ostatnie chwile Kozaczyzny na prawym brzegu Dniepru“, oraz doktora za rozprawę: „Rys historyi W. Księstwa Litewskiego“. Od r. 1870 był docentem, od r. zaś 1878 profesorem historyi na Uniwersytecie kijowskim, nie porzucając zajęć w Komisyi.

W chwili, gdy prof. Antonowicz zaczynał karyerę, publicysta polski na kresach, Padalica (Zenon Fisz) ogłosił zagranicą list otwarty, w którym, wyrażając się niezbyt pochlebnie o swym koledze uniwersyteckim i niegdyś przyjacielu, nazwał prof. Antonowicza „perewertniem“ (renegatem). Profesor podniósł rzuconą mu rękawicę i odpowiedział Fiszowi w *Osnowie* (1862 r. Nr. 1) w ten sposób mniej więcej:

„Tak, panie Padalica, masz pan słuszność! Jestem „perewertniem“, ale nie zwróciłeś pan uwagi, że wyraz odstępca sam przez się nie ma żadnego znaczenia, że trzeba zapytać przedewszystkiem, od czego się jest odstępcą, inaczej miano to nie daje pojęcia o człowieku... Z woli losu urodziłem się na Ukrainie i jestem szlachcicem. W dzieciństwie miałem wszystkie przyzwyczajenia paniczów; gdy dojrzałem, zrozumiałem swe położenie w kraju... Polacy, mieszkający w poł.-ruskim kraju, powinni: albo pokochać lud, wśród którego żyją, przejąć się jego interesami, wrócić do ludu, niegdyś opuszczonego przez ich przodków i starać się pracą i miłością wynagrodzić wszystkie krzywdy, jakie mu wyrządzili wielmożni koloniści, albo przenieść się do Polski... Wybrałem pierwsze, bo, chociaż byłem popsuty przez wychowanie szlacheckie, tradycye, marzenia, wolałem się rozstać z niemi, niż z ludem, wśród którego wyrosłem, i mam nadzieję, że Ukraińcy uznają mnie kiedyś za syna swego narodu, gdyż wszystko gotowem podzielić z nimi... Tak, panie Padalica, jam „perewerteń“ i jestem z tego dumny, jakbym był dumny, gdybym się urodził w Ameryce i stał się abolicyonistą z plantatora, lub we Włoszech z papisty uczciwym i pracowitym sługą sprawy narodowej“.

W rzeczywistości prof. Antonowicz — robi słuszną uwagę informator *Kraju* — nie wrócił bynajmniej do ludu, jako to obiecywał p. Padalicy, lecz zaliczył się do kolonii prawdziwie rossyjskiej, jaką stanowią od 70 lat urzędnicy rossyjscy w Kijowie i profesorowie Uniwersytetu św. Włodzimierza, pp.: Pichno, Bo-

gdanow, Rein, Rachmaninow, Renenkampf, Szulgin i t. d., protoplaści szeregu rodzin „plantatorskich“ nowej formacyi, którzy umieli zdobyć majątki ziemskie, odebrane w ten czy ów sposób Polakom. Wśród nich żył, wykładał historyę w języku rossyjskim, pisał przez całe życie po rossyjsku, pisał przeważnie na obstalunek kancelaryi gen.-gubernatora.“

Równie ostro scharakteryzował naukową działalność profesora Antonowicza Franciszek Rawita-Gawroński w pracy swojej o Bohdanie Chmielnickim. Pisząc o historykach, którzy „majaczenia rozpijaczonej Kozaczyzny i jej niepiśmiennych przywódców identyfikowali z pragnieniem i dążeniem ludu, nigdy nie wypowiadanem“, mówi dalej z wrodzoną sobie szczerością i otwartością: „Hasło takiej swawoli historycznej rzucił znany odstępca od wiary i narodowości polskiej, który tylko za te odstępstwa kupił sobie profesurę w Kijowie — Włodzimierz, syn Bonifacego, Antonowicz. Człowiek o skrzywionej etyce, o skrzywionym kącie patrzenia na dzieje, o chorobliwej, cichej ambicyi, nie posiadał najmniejszej zdolności do słusznego oceniania faktów, upatrujący w każdej bójce — bohaterów, w każdym rabunku, który się powiódł — zdolności, nadawał się najlepiej na obrońcę wszelkich krwiożerczych instynktów, ale tylko własnego (od niedawna) narodu“. Ciekawi znajdą ponadto sporo materyału do sylwetki społecznej i politycznej Antonowicza w innej pracy tegoż samego autora p. t. „Rok 1863 na Rusi. Ukraina, Podole, Wołyń“.

. . . .

„Zaniedbanej powierzchowności, odstręczającej prawie“ był Antonowicz i w latach późniejszych, kiedy już imię jego rozbrzmiewało donośnie we wszystkich krańcach Rossyi, jako profesora, męża nauki i wydawcy materyałów. Zwłaszcza latem, w bardzo podejrzanej czystości stroju, w wyszywanej koszuli, związanej pod szyją czerwoną tasiemką, w kapeluszu słomkowym z nadszarpaną kresą, wyglądał na wszystko, tylko nie na uniwersyteckiego dygnitarza. Dawało to częstokroć powód do humorystycznych nieporozumień.

Zetknąłem się z nim po raz pierwszy w Kamieńcu Podolskim w roku 1885 czy 86, kiedy Antonowicz wraz z pną Mielnik — jeśli dobrze pamiętam nazwisko — wysłany został przez rząd do badania przedhistorycznych pieczar nad Dniestrem i Smotryczem. Spotkanie z kolegą uniwersyteckim drem Antonim J. —

po wielu latach rozłąki, w ciągu których zapatrywania i ideały obu historyków tak krańcowo się rozbiegły — było wielce charakterystyczne.

— Jakże porozumiewać się będziemy? — zagadnął gospodarz gościa kijowskiego, który z nim w sprawach naukowych w rossyjskim korespondował języku.

— Z tobą mówić będę jeszcze po polsku — odparł Antonowicz.

W lat sześć czy siedm później zjawił się uczony kijowski znowu w Kamieńcu. Było to już po jego pobycie w Galicyi i po pertraktacyach w sprawie katedry uniwersyteckiej we Lwowie. Antonowicz tym razem odmiennej trzymał się taktyki: mówił przepięknym językiem polskim, w zapatrywaniach swoich na Rossyę i polsko-rossyjskie stosunki zdaje się nową przebywał ewolucyę.

Z temi drugiemi jego odwiedzinami kresowej placówki związany też jest zabawny szczegół: służący hotelowy, „myszures“ dał wprawdzie Antonowiczowi na jego stanowczy rozkaz najwspanialszy nie tyle, ile najdroższy nr. 1., sądząc jednak z ubrania turysty i związanego sznurkiem nędznego kuferka, przypuszczał, iż raczej ma tutaj do czynienia z jakimś oszustem lub wydrwigroszem, niż z uczonym kijowskim. Przybiegł więc do dra Antoniego J., by poufnie poinformować się o finansowej wartości podejrzanego gościa.

Wrócił do hotelu na pozór przynajmniej zupełnie uspokojony, a Antonowicz, dowiedziawszy się o całej historyi, opowiedział następującą charakterystyczną przygodę:

W Kijowie posiadam obok mego domu duży sad, otoczony zwyczajnym częstokołem. Jestem zapalonym ogrodnikiem, z wczesną wiosną więc ubrałem się w krótki kożuszek, wziąłem łopatę do ręki i udałem się do sadu.

Na ulicy dwóch pijaków wszczęło awanturę; nadbiegł rewirowy i rozpoczęło się śledztwo. Wsparty na łopacie, obserwowałem zdaleka przebieg zajścia. W tem dygnitarz policyjny, spisawszy coś w notatniku, począł rozglądać się dokoła, a zoczywszy mnie za częstokołem, zawołał rozkazującym, nie znoszącym oporu, prawdziwie „policejskim“ głosem:

— Ty! chodź tutaj, będziesz świadczył!

Zrozumiałem odrazu całą humorystyczną stronę sytuacyi i z łopatą w ręku stawiłem się z dostatecznie pokorną miną przed obliczem reprezentanta władzy.

— Będziesz świadczył! — powtórzył dygnitarz cyrkułowy krótko i dobitnie.

Milczałem...

— Umiesz pisać? — zapytał rewirowy, wygotowawszy protokół zajścia.

— Ta podpisać się jeszcze potrafię...

— To pisz!

Wpakował mi papier pod nos. Oparłem łopatę o parkan i po raz pierwszy w życiu postanowiłem podpisać się w roli świadka ze wszystkimi tytułami, godnościami i orderami.

Policyantowi wydała się ta cała manipulacya zbyt powolną, rzucił więc przez moje ramię badawczym wzrokiem na papier, z kolei obejrzał niepozorną figurę świadka od stóp do głowy, zlustrował pilnie mój strój niewykwintny, łopatę i zawołał ostro:

— Ty żartujesz!

— Nie, panie rewirowy, nie żartuję, a jeśli przekonać się pragniesz o prawdzie słów moich, jedźmy do rektora Uniwersytetu...

— *Izwienitie, wasze prewoschoditielstwo* — mruknął tak pewny siebie jeszcze przed chwilą dygnitarz, wyciągając się jak struna, podarł papier i czem prędzej umknął z moich oczu.

. . . .

Nad Dnieprem zapadło wieko trumny nad uczonym, co pióro swoje maczał w żółci i nienawiści do społeczeństwa, z którego wyszedł. Pamięci jego nie otoczy ani miłość, ani szacunek...

Michał Rolle.

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

(Ciąg dalszy).

26. września do 2. października. — Rio de Janeiro. Sprawy handlowe. Polacy. Towarzystwa polskie.

Ostatnie dni pobytu w Rio de Janeiro zeszły mi na badaniu stosunków handlowych. Próbki swych wyrobów na przepadłe ofiarowali mi w kraju: Rektyfikacya warszawska, warszawski zakład szewski w Warszawie p. Talikowskiego, zakład rękawiczniczy tamże p. Jeziorowskiego, zakład ozdób kościelnych i książek do nabożeństwa p. Kuczabińskiego we Lwowie. Sam też zakupiłem niektóre rzeczy na własne ryzyko.

O ich stronie handlowej teraz mogę tylko to zaznaczyć, że mimo ceł, miałyby zbyt w Brazylii: najwyższe gatunki likierów, niektóre wódki gorżkie. Wbrew upodobaniu brazylijskiemu do wszystkiego co francuskie, a szczególnie paryskie, mogą one mieć powodzenie, byle przynajmniej napisy na flaszkach były francuskie a nie jedynie rosyjskie i polskie.

Również buty szyte, (nie na kołkach!) najlepsze i najwięcej eleganckie, z porządnemi kolorowemi uszkami i ponętnem białem, różowem albo niebieskiem wnętrzem.

Rękawiczki w gorącym klimacie riożaneirowskim mniej są używane, niż w kraju „białych niedźwiedzi“, jakim jest nasz pod względem temperatury w porównaniu z brazylijskim. Jednakże, choć cokolwiek mniej, noszą je powszechnie w większych miastach, zupełnie tak, jak w gorętszych krajach europejskich. Lecz trudne byłoby nasze współzawodnictwo z prawdziwie znakomitemi wyrobami paryskiemi i z uprzedzeniem, jakie ma cała południowa Ameryka do wszystkiego, co pod tym względem nie jest paryskie. Przytem rękawicznicy w Rio de Janeiro zarabiają ogromnie na cle. Sympatyzują z wysokiem cłem brazylijskiem na rękawiczki, jak z kochanką. W zniechęcaniu mnie do dowozu ich z Warszawy ze strony kilku polskich rękawiczników w Rio widziałem pobudki osobistego i cechowego interesu. Bawił mnie ich upór w przekonywaniu, że to się na nic nie zda, że to nie jest żaden interes i t. p. Wszelako z wielkiem uznaniem wyrażano się o samym wyrobie warszawskim. Dwa najpoważniejsze sklepy rękawicznicze zapewniały mnie też, że jeden gatunek ich grubszy i mocniejszy koloru ciemno ceglastego byłby niezrównany dla stangretów i do konnej jazdy i że, mimo wysokiego cła, sprowadzanie jego opłaciłoby się. Sklepy te nawet oświadczyły mi, że skoro im zabraknie rękawiczek, udadzą się do Warszawy. Musiałem podać im adresa rękawiczników warszawskich i podpisać skrypty, że to ja ich polecam.

Zbyt powyższych wyrobów z Polski byłby jaknajzupełniej możliwy, gdyby urządzić odpowiednio bez zwłoki stosunki płatnicze i kredytowe. W tem tkwi największa trudność. Europejski czy połnocno amerykański exporter udziela kredytu 4 do 8 miesięcznego i na kredyt przesyła mnóstwo towarów, a przez agentów i konsulów swego kraju wie doskonale komu je zawierzać. Przy tem banki zachodnio europejskie operują z łatwością bezpośrednio i upraszczają wypłaty i zamiany wszelkie. Nam Polakom, w głębi Europy osiadłym, wypadłoby używać pośrednictwa tych obcych kanków, ,nim stanęłyby za morzem nasze własne.

Na wieczornych zebraniach „Zgody“ tropikalny klimat nie przeszkadzał powodzeniu ojczystych wódek. Niemniej w „high life“ riożaneirowskim, do którego należą państwo Poznańscy, niektóre gatunki wykwintnych likierów, zwłaszcza jakiś zielony, bodaj miętowy, zrobiły „furorę“. Gdyby nie trudności płatnicze i kredy-

towe, ceny warszawskie, nawet podwyższone kosztem więcej oddalonego transportu. nie odstręczyłyby nikogo.

Nie zważają bowiem w południowej Ameryce tyle na cenę, ile na jakość towaru. W Brazylii zdarzyło mi się widzieć sklepy sąsiadujące ze sobą. Identycznie ten sam towar sprzedawały jeden tanio. drugi po cenie w czwórnasób wyższej, Oba wciąż przez całe lata tak rożnej sprzedaży miały bez przerwy równe powodzenie. Niewiadomo istotnie czyja spekulaaya była lepsza: czy oparta na taniości czy na modzie i jakości. Dzieje się to samo w Europie z artykułami mody, tylko na daleko mniejszą skalę niż w Brazylii, gdzie ludziom więcej się pieniędzy przelewa w kieszeni.

Załatwiłem swoim wychodźcom i towarzyszom podróży na ich prośby różne drobne sprawunki; lecz bardzo często nie mogłem domyśleć się, o co im idzie. Jeden z nich np. modlił się do mnie, abym mu kupił lekarstwo na boleści reumatyczne i przywiózł je do przyszłej jego osady w Paranie. Określił je nazwą „szpiliar“. Słowo to wymówił kilkakrotnie wyraźnie. Kazałem mu je powtórzyć jeszcze z kilka razy dla wszelkiej pewności. Gdy wyraziłem mu powątpiewanie o istnieniu takiego specyfiku, zapewniał mnie, że go można dostać w każdem miasteczku w Galicyi, jako lekarstwo amerykańskie, dodając: „A cóż dopiero nie mógł by Pan mi go wyszukać w Rio“? Zakupiłem mu więc jakichś maści z nazwy najwięcej zbliżonych do tego brzmienia. Wykształcenie moje uniwersyteckie i najlepsza wola nie zdały się na nic. Memu przyjacielowi chodziło o palącą wódkę do nacierania skóry zwaną „pain expeller“.

Z Polaków osiadłych w stolicy Brazylii, najwybitniejszą osobistością jest pan Franciszek Krauze. fabrykant powozów z Łodzi. Człowiek to młody, inteligentny, znający się na swym fachu i handlu; przymioty te dają mu stanowisko zamożnego przemysłowca. Pomimo to, że ma nazwisko niemieckie i jest ożeniony z Niemką, nie jest on bynajmniej dwuznaczny po względem narodowościowym. Jest duszą stowarzyszenia „Zgoda“, które bez jego osobistego i pieniężnego udziału bodaj czyby istniało. Każdy czy to szukający zarobku czy przejeżdżający, czy też chcący zasięgnąć wiadomości o stosunkach polskich, zawadza o niego. Zawsze chętny do udzielania wiadomości, rad i usług, nie ostyga w tej obywatelskiej działalności.

Z uznaniem wypada mi wspomnieć o p. Józefie Poznańskim z Częstochowy. Jest on współwłaścicielem znanej firmy jubilerskiej „Mühlrad, Poznański i Spółka“, mającej swe filie w Paryżu,

S. Paulo i Buenos Ayres. Żywe poczucie polskie i zamożność stawiają go na czoło kolonii polskiej w Rio. Jest to człowiek w starszym wieku, żonaty z Brazylianką, żyje przeto więcej w towarzystwie brazylijskiem, niż w polskiem, składającem się zresztą jedynie z klasy rzemieślniczej i robotniczej. Niemniej jest wciąż czynnym członkiem towarzyszwa „Zgoda“, jako skarbnik.

Od Polaków w Rio de Janeiro doznałem wogóle jak najserdeczniejszej gościnności i pomocy, oraz wiele wszechstronnych objaśnień. Ludzie to pracy, prawie wyłącznie z Królestwa Polskiego.

Towarzystw polskich było w Rio de Janeiro dwa: „Zgoda“ i „Jedność“, choć wystarczyłoby właściwie jedno a kwitnące. Zamożniejsze i liczniejsze jest pierwsze.

Rzemieślnicy i robotnicy mają ogromne zarobki w stolicy „Rzecznej“. Dobry byt i ponęta wielkiego miasta ściągają ich tam, mimo niebezpieczeństwa żółtej febry i innych chorób. Zarabiają najmniej dziennie 5 milrejsów (franków), a często kilkanaście i kilkadziesiąt; nie są rzadkością dochody dzienne fachowego rzemieślnika i rękodzielnika, dochodzące do 30 i nawet 50 milrejsów. W czasie mego pobytu szczególnie popłacał fach rękawiczniczy z powodu nałożenia wysokich ceł na dowożone z Europy wyroby skórzane i gotowe rękawiczki. Podobno większość naszych rodaków i rodaczek łatwo poddaje się rozluźnieniu obyczajów pod wpływem dobrobytu, gorąca i pokus wielkomiejskich. Tej strony życia nie badałem.

ROZDZIAŁ III.

Z Rio de Janeiro do Parany.

2. października. — Wyjazd morzem z Rio de Janeiro.

Nadszedł wreszcie dzień mego wyjazdu. Statek parowy towarzystwa Lloyd Brasileiro „Planeta“ 2-go października o 1-ej w południe wypłynął z Rio de Janeiro, unosząc mnie i setkę wychodźców, niedawnych towarzyszy podróży transatlantyckiej. Przepiękna pogoda rozjaśniała nam i odsłaniała cudne widoki zatoki riożaneirowskiej, zdolne natchnąć miernego artystę do genialnego tworzenia.

Mijamy wyspy „Villegaignon", „św. Jana", „św. Sebastyana" i inne: były one, jak niemal cała zatoka, widownia rewolucyi 1893 r. Z wielkiam ożywieniem opowiadają sobie Brazylianie na statku szczegóły strategiczne walki. Nieznajomi jacyś zwracają się do mnie i objaśniają mnie o wszystkiem szczegółowo. — Jakkolwiek w opowiadaniu używano języka portugalskiego, którym jeszcze bardzo słabo wówczas władałem, zrozumiałem jednakże tyle, że był to rokosz floty przeciw władzy wice-prezydenta, Floriano Peixoto (wym. Peiszoto). Podniósł go admirał Custodio de Mello.

Rokoszanie byli panami zatoki riożaneirowskiej; ale samo miasto Rio de Janeiro i fortece przy wejściu do niej od morza były w ręku rządu „legalnego". Wyspy posiadali przeważnie rokoszanie, którzy nie mogli czy nie chcieli wydostać się z zatoki i gwałtownie dobywali stolicy, sympatyzującej z nimi. Gdy owładnięcie miastem stawało się coraz trudniejsze a rządowcy zdobywali wyspy jedną po drugiej, okazało się, że pierścień rządowych sił nie zupełnie szczelnie otaczał rokoszan. Udało się im bowiem, wielkiemu okrętowi „Aquidaban", unoszącemu admirała Custodio i sztab rokoszan przemknąć przez wrota zatoki na pełne morze.

Przejeżdżaliśmy między „Głową Cukru" a warownią Santa Cruz, opuszczając ostatnie wybrzeża zatoki riożaneirowskiej, przed wydostaniem się na pełny ocean. W tem miejscu właśnie najgoręcej się sprzeczano o to, czy przepuszczenie rokoszan dowodzi niedbalstwa, wspaniałomyślności, zdradzieckiego sprzyjania powstańcom, czy też pewnego wyrachowania strategicznego lub wreszcie chęci ulżenia stolicy.

Minąwszy wrota zatoki, „Planeta" zaczęła witać morze coraz większem kołysaniem się, które łagodziło i przerywało sprzeczkę. Nachylając i podrzucając w różne strony przeciwników politycznych, stojących na pokładzie i wymachujących rękami, panujący od chwili żywioł morski rwał wątek myśli wybuchowych i zmuszał najzacieklejszych do zwracania większej uwagi na wspaniałą przyrodę niż na walki ludzkie, lilipucie wobec jej majestatu.

Opłynęliśmy kilka samotnie w wodzie sterczących skał i większych wysp, aż wreszcie po lewej stronie biegu statku widny był jedynie bezmiar toni, a po prawej nie kończący się kalejdoskop gór prostopadle i wyniośle, jak Alpy, nad morzem sterczących. Stożkowate ich kształty nadawały zębaty kształt temu pasmu. Lecz najpiękniejsza jednostajność, gdy trwa za długo, jest nużąca. Po paru godzinach już mi się nie chciało patrzeć na te cuda.

Na statku zapoznałem się z wielu Brazylianami: zbliżyłem się szczególnie do doktora. Człowiek ten grzeczny, gładki, uprzejmy, nie grzeszył jednak przesadnem oddawaniem się sprawie cierpiącej ludzkości. Wolał np. leczyć piękne panie z 1-ej klasy, chore na morską chorobę, na co niema właściwie lekarstwa, niż ulżyć poważnym cierpieniom prostego ludu w 3-ciej klasie. Jeden z wychodźców naszych bardzo dopominał się lekarza do żony, odbywającej słabość... nie morską. Do mnie ziomek Rusin miał wielką pretensyę za to, że zaraz nie przyprowadziłem mu doktora. Lekarz zaś niechętnie przyjmował zaproszenie z mej strony. Wreszcie na moje naleganie zeszedł do chorej, spojrzał na nią najobojętniej, mając ręce głęboko wsunięte w kieszenie i odszedł. Mąż położnicy suszył mi potem głowę, abym gwałtem sprowadził go raz jeszcze... Daremnie! Przemocy nie mogłem użyć. Nowy obywatel Rusi Czerwonej ujrzał światło dzienne bez pomocy lekarskiej.

Jechaliśmy w kierunku południowo-zachodnim. Słońce zaraz po porównaniu dnia z nocą, które miało miejsce 21. września, zachodziło wprost na zachód, t. j. prawie przed nami i cokolwiek na prawo w bok za góry, oświetlało je z tyłu i tworzyło na ich szczytach alpejską grę świateł. Zniewoliło mnie to znów przypatrywać się temu widokowi z zajęciem i podziwem. Znikła gwiazda dnia wkrótce dosyć szybko; wtedy noc prawie w jednej chwili pogrążyła lądy, wody i nas na wodzie w ciemnościach i zasłoniła nam tak wyraźne przed chwilą brzegi Brazylii.

3. października. — Santos.

Nazajutrz gwiazda dzienna, wschodząc z przeciwnej strony, oświeciła zupełnie taki sam wciąż dalej ciągnący się brzeg górzysty. Około 10-tej rano zbliżył się on do nas, jednocześnie ustało kołysanie morskie i z obu stron statku ujrzeliśmy w oddali wybrzeża płaskie tak, jakbyśmy się znaleźli w środku szerokiej rzeki. Była to długa i wązka zatoka Santos, nie robiąca wcale wrażenia pustkowia. W miarę zwężania się jej brzegów widzieliśmy coraz więcej śladów zaludnienia na nich z obu stron, zwłaszcza z lewej po prostu dla tego, że do brzegu lewego bliżej podpłynęliśmy. Wkrótce ukazał się przy nim przed nami las masztów i kominów, a za niemi miasto.

Wjechaliśmy do portu Santos, najważniejszego po Rio de Janeiro w Brazylii, wywożącego na bardzo wielką skalę kawę

w ostatnich czasach. Zapewne przez żaden port na świecie tyle, co przez Santos, nie przesypuje się ziarn kawowych, sprzątanych w stanach São Paulo, Minas Geraes i Goyaz.

Miasto rozłożyło się wzdłuż portu. Dogodnie można było wychodzić na brzeg do miasta przez kilka okrętów, połączonych deskami, bez uciążliwej i zwykle kosztownej potrzeby najmowania łódek.

Znalazłem się na ulicach i placach, utworzonych z domów murowanych jedno- lub bezpiętrowych. Środkiem wzdłuż miasta idzie jedna ulica główna, bogata i elegancka, stołeczna. Ulice i place wogóle były dość puste, co mnie zadziwiło w mieście, które ożywia handel wielkoświatowy. Winne temu były święto niedzielne i gorąco. Przed jednym kościołem, prawdopodobnie farą, puszczono w południe ogromne mnóstwo rakiet (zwanych tam „fogetos“), na chwałę Panu Bogu. W Brazylii miliony rocznie pękają w postaci rakiety; z byle jakiego powodu puszczają je. Wciąż bowiem wypada jakaś uroczystość publiczna czy prywatna, wymagająca fajerwerków.

Gorąco w tych dniach na ulicach Santos było nieznośne. Wróciwszy z miasta, w 1-ej klasie „Planety“ zastałem dwóch artystów: fortepianistę i skrzypka, którzy grali na zabój bardzo pięknie tak, że słuchając tej muzyki, zaniechałem dalszego zwiedzania miasta przez 2 godziny, które mi pozostawały do odejścia statku.

Wyjechaliśmy z Santos około 5-tej tą samą drogą powrotną, niby prądem wielkiej rzeki; znalazłszy się na morzu, zatoczyliśmy ogromne koło i przyświecające nam dotąd z tyłu słońce ujrzeliśmy na prawo przed nami, zachodzące za góry nadbrzeżne stanu S. Paulo.

Podczas gdy muzycy na dole w salonie 1-ej klasy uprzyjemniali nam drogę, na pokładzie tymczasem odegrała się scena, która uderzyłaby każdego europejczyka, nieprzyzwyczajonego do stosunków amerykańskich. Żołnierz, czy majtek w służbie okrętowej stawiał się kapitanowi w klasie 1-ej, na granicy 3-ej, mniej więcej w samym środku statku w pobliżu komina. Trzeba było widzieć, jak się rzucał i wprost mu wymyślał. Wykrzykiwał, o ile zrozumiałem po portugalsku: „Taki to człowiek, taki kapitan mnie...“, bił się w piersi obnażone i imponująco machał rękoma, jakby jaki bohater na scenie. Wysoki wzrost, szerokie barki, ciemno oliwkowa cera, ogniste oczy o barwie czekoladowej wskazywały na pochodzenie indyjskie lub murzyńskie. Mówił z szalonym

ogniem i wyraźnie, jakby trybun ludowy na wiecu w chwili burzliwej, wskazując palcem to na kapitana. to na innych porządnie w czarne mundury ubranych. Ci odpowiadali mu z dystyngowaną grzecznością „senhor“ (wym. sinior) i wskazywali uprzejmie kierunek klasy 3-ciej, dokąd przechodził rozzłoszczony mąż bardzo wolno, nie spiesząc się i, co chwila stając, aby coś patetycznego wygłosić. Zrozumiałem, że go kapitan za jakieś przewinienie degraduje ze służby i jako pasażera 3-ciej klasy postanawia wysadzić w najbliższym porcie. Oberwaniec miał nóż za pasem: lecz mimo to, na europejskim statku najniezawodniej bez ceremonii aresztowanoby go, a nawet zbito na kwaśne jabłko. Na gruncie amerykańskim uszanowano w nim wolnego obywatela.

Tymczasem noc zapadła, posnęliśmy. Lecz przebudził nas spokój i cisza taka, jakbyśmy znowu zawinęli do portu. To jednak tylko było zagadkowem, że pomimo tej ciszy i spokoju statek nie przestawał bujać się dość silnie.

4. i 5. października. — Na pełnem morzu.

Nazajutrz rano dowiedziałem się, że w nocy parostatek nasz stanął i stać miał tak na pełnem morzu 24 godzin. Przeciąg czasu ten okazał się potrzebny. dla naprawy maszyny czy kotła.

W klasie 3-ciej tymczasem żołnierz brazylijski napierał się małej paczki drewnianej od pary małżeńskiej wychodźców naszych. Właściciele tej paczki. ogrodnicy, mieli w niej szczepy i korzenie roślinne, zebrane na Wyspie Kwiatów. gdyż postanowili na własnym gruncie w Paranie zasadzić drzewo chlebowe i inne rośliny: nie chcieli więc paczki tej pozbywać się. Rozpowiadali mi wciąż o swych planach i zamiarach, dotyczących przyszłego swego ogrodu. Nazajutrz znaleźli z paczki swej tylko deszczułki. Miły wojak ją rozbił, nasiona i szczepy zniszczył. spodziewając się czego innego. niż rzeczy bezwartościowych dla niego.

Fakt ten przedstawiłem kapitanowi, który przyznał słuszność naszym kolonistom, lecz znalazł, że byłoby bardzo trudno przeprowadzić śledztwo. Radził samoobronę. Spytałem go wtedy. czy przy następnej zaczepce żołnierza będzie można trochę go poturbować. Dał mi pełne do tego upoważnienie. Gdy to doniosłem naszym kolonistom, zorganizowali się, aby go wziąć między siebie i dać mu odpowiednią nauczkę. Miało to nastąpić niebawem. bo co chwila lubił zaczepiać niewiasty nasze. Jednakże instynktowo

przeczuł, co się święci, gdyż zachował się odtąd dziwnie wzorowo i grzecznie tak, że powodu nie było najmniejszego do zwady z nim.

6. października. — Paranagua. Kurytyba.

Wjechaliśmy do zatoki Paranagua rankiem pochmurnym; rozeznać jednak można było piękność położenia i wysokie góry. otaczające ze wszech stron zatokę. Minąwszy wyspy różne. warownię i latarnię morską, znaleźliśmy się przed miastem Paranagua. By się do niego dostać, trzeba przesiąść się do łódki i nią dopiero dojechać do portu. Korzystają z tego właściciele środka przewozowego, aby bezlitośne nakładać ceny za to przewiezienie. Przejażdżka ta trwa przeszło pół godziny.

Zaprowadzono mnie do jakiegoś hotelu pierwszorzędnego z balkonem wielkim na 1-szem piętrze; hotel mi się wydał w oszołomieniu, w jakiem się znajdowałem. bardzo okazałym i pięknym pałacem. Poznałem się tam z głównymi figurami francusko-belgijskiego towarzystwa kolei parańskich. Byli to: dyrektor Couraux, sekretarz p. Fontaines i kilku innych. Przyjęli mnie jak króla, zaprosili na wspaniałe śniadanie. Dowiedzieli się byli widocznie coś przedtem o mnie i w swej gościnności i niezwykłej grzeczności dali mi zasmakować coś w rodzaju uczuć. jakich doznaje panujący lub wielki dygnitarz, który przybywa pierwszy raz do rządzonego przez siebie kraju. Wiadomości różnych o stanie Parana, którego Paranagua jest obecnie głównym portem, miałem od nich w ciągu paru godzin mnóstwo. Jak najlepszy znajomy i przyjaciel od dzieciństwa, wsiadłem z nimi do przygotowanego dla mnie pociągu nadzwyczajnego, udającego się do Kurytyby. Powiózł on nas znacznie szybciej, niż wlókłby nas zwykły, wychodzący dopiero o 1-szej.

Droga żelazna z Paranagua do Kurytyby zalicza się do najpiękniejszych w świecie. Kolej ta jest arcydziełem sztuki inżynierskiej. Zaniechano przeprowadzenia drogi żelaznej szlakiem utartym t. j. tam, kędy idzie szosa zwana rua Graciosa (droga piękna). łącząca Kurytybę z Antoniną, portem tej samej zatoki, oddalonym o 3 godziny jazdy parostatkiem od Paranagua, a przeprowadzono ją zuchwale tam, gdzie góry są najwyższe.

O parę stacyi za Paranaguą, tj. za Aleksandryą i Morretes. kolej żelazna, bieżąca dotąd po płaszczyźnie nadbrzeżnej. zaczyna

się wznosić, odkrywając coraz rozleglejsze widoki na zatokę morską i góry, które rosną w miarę podjeżdżania ku chmurom. Rozpoczyna się jazda nad ogromnemi przepaściami; w głowie się kręci, gdy się w nie spojrzy.

U dołu jednej z większych znajduje się krzyż. Jest to pamiątka po rokoszu 1893 roku. Stronnictwo rządowe tj. legalna władza zgładziła ze świata sześciu ludzi bez sądu, jedynie skutkiem podejrzenia, że należą do stronnictwa rokoszan zwanych federalistami. Wywieziono ich w nocy z Kurytyby i zamordowano okrutnie nad tą przepaścią; wyciągano opierających się z wagonu, rąbiąc pałaszami i kolbą po rękach, aby puścili poręcze i klamki wagonów, których się trzymali kurczowo — spychano ich w przepaść i strzelano za nimi jak do zwierzyny, nie oszczędzono i tych, którzy uczepili się gałęzi nad okropną przepaścią prostopadłą na 1.000 stóp. Byli to najlepsi i najwybitniejsi obywatele Parany. Najwięcej znany i ceniony był bogacz, baron Serro Azul, przyjaciel Polaków.

Przestrzeń ta górska zupełną jest puszczą. W małem już oddaleniu od kolei po obu jej stronach, noga ludzka jeszcze nie postała. Widzimy tam przyrodę w stanie pierwotnym, niezamąconym przez obecność potomków Adama i Ewy. Przelatujemy nad nią, jak orły. Nagie skały stożkowate i ściany skaliste, jak tatrzańskie „turnie“ i „granie“, sterczą obok „wirchów“ spiczastych oraz „czubów“ płasko zaokrąglonych i małych płaskowzgórzy „upłazów“. Niekiedy mijamy skaliste i ziemne wypukliny, tonące w kwieciu jednostajnej barwy lila, czerwonej, niebieskiej, to kwitnący las dziewiczy.

Naliczyłem jedynaście tuneli i wiele mostów artystycznie, jak gniazda, przylepionych do skały, po których przebiega pociąg z całem bezpieczeństwem. Droga wije się, jak wąż, a poziom kolei podnosi się 5 centymetrów co 1 metr. Pociągi biegną po takiej pochyłości bez kół zębatych i wind żelaznych — wystarczają im para i hamulce. Widzi się u spodu nasyp kolejowy, po którym się przejechało, a u góry ten, po którym się będzie przejeżdżało. Krzyżuje się jakby kilka dróg żelaznych jedna pod drugą.

Z pasma gór odznacza się swym ogromem Marumby (1.450 metrów wysokości nad poziomem morza). Jest to szczyt najwyższy w całym stanie parańsktm, skalisty i płasko zaokrąglony.

Przebywszy paroksyzmy zachwytu nad niebotycznymi kopcami i wieżami skalistymi oraz potwornymi wąwozami bez dna, wzlatujemy na sam grzbiet pasma nadmorskiego. Następnie, już

z drugiej jego strony, zjeżdżamy i mkniemy wzdłuż ogromnego potoku kamienistego, początku rzeczki Ipiranga, kręcimy się na wsze strony równolegle z Ipiranga, która spływa wężykowato, wściekle zapieniona, po naszej prawicy. Mamy wciąż krajobrazy piękne, a jakkolwiek nie wydobywamy się z gór, wyniosłości maleją, widoki drobnieją i łagodnieją. Z alpejsko-tatrzańskich przechodzą w karpacko-beskidowskie.

Pan Fontaines, który przez cały czas podróży naszej wśród tych gór z największem ożywieniem zwracał mi uwagę na wybitniejsze piękności drogi: skały, szczyty, mosty kolejowe, tunele i t. p., usiadł i powiedziawszy, że już nie warto patrzeć, zasnął snem znużonego i sprawiedliwego.

Ukazuje się w wielkiej ilości dziwaczna sosna „araukarya", wysoka, prosta, jak świeca, obnażona z gałęzi od spodu do szczytu, który dopiero tworzą konary, poziomo rozrosłe w kształt tulipana, parasola lub grzyba.

Wjeżdżamy do doliny. Po jej płaszczyźnie wciąż dalej wije się droga zupełnie niepotrzebnie. Pochodzi to ztąd, że rząd zagwarantował 5% dochodu przedsiębiorstwu kolejowemu, obliczając koszt budowy 1 kilometra drogi na 30.000 milrejsów złotem. Przeto, im droga jest dłuższa, tem poręka rządowa jest większa. Zresztą nie po rycersku, ale taniej jest wymijać wszelkie nierówności terenu, niż pzekopywać je lub dziurawić tunelami.

Przyjechaliśmy do Kurytyby około 3-ciej po południu. Mając ze sobą mnóstwo rzeczy, zostawiłem je na dworcu i puściłem się do redakcyi gazety „Polonia". Ulewny deszcz i pochmurne niebo niegościnnie mnie przywitały. Tramwaj przebiegał szerokiemi i prostemi ulicami, którym z powodu słoty nie mogłem dokładnie się przyjrzeć, tembardziej, że przysłuchiwałem się wewnątrz tramwaju głośnemu bigosowi językowemu. Mowy: portugalska i niemiecka walczyły o przewagę, którą osiągnęła ostatecznie niemiecka z przyczyny może, że ją najlepiej rozumiałem i że jej przedstawicielkami były cztery bardzo przystojne i wygadane blondynki. Brak dźwięku języka polskiego przygnębiał mnie.

Wysiadłem na ulicy głównej „15-go Listopada" (Quinze de Novembro) i, dostawszy się do jakichś lichych przecznic, zbłądziłem. Na dobitkę przerażające błoto ulic, które trzeba było przejść aż do placu różańcowego (Praça do Rosario), gdzie się znajdowała redakcya, wprawiło mą toaletę w stan opłakany. A do tego wyglądałem jak Indyanin lub Mulat ciemnoskóry, gdyż przy cią-

głem wychylaniu się z okna kolejowego, przydymiła mi się skóra na twarzy od ziejącego dymem komina lokomotywy.

W redakcyi „Polonii“ przyjęto mnie ozięble. Były bowiem pozory, że w wilię dnia tego przybyłem i dopiero nazajutrz raczyłem tam zajść po południu. Pociąg bowiem dopiero wieczorem o 7-mej przybywa z portów nadmorskich Antoniny i Paranagua. Obroniła mnie kolorowa od dymu kolejowego i ciągłego wyglądania oknem skóra mulata, którą zaraz postanowiłem zrzucić za pomocą wody. Był to oczywisty dowód, że jakimś cudem przeniosłem się do „Polonii“ wprost z kolei o 4 godziny za wcześnie. Gościnne przyjęcie i niedopuszczanie do hotelu były wynikiem skombinowania prawdy.

ROZDZIAŁ IV.

Kurytyba. Wycieczka do Porto Amazonas i Rio dos Patos.

7.—14. października. — Kurytyba. Polacy i ślady powstania federalistów. (Maragatów). Gazeta Polonia. Naczelnik biura kolonizacyjnego. Wychodźcy w szopach. Biskup.

W chwili mego przybycia Polacy przedstawiali obraz rozbicia, rozterki wewnętrznej i przygnębienia. Żywioł nasz zaczął się cokolwiek ożywiać i organizować przed 1893 r. Pobudką do życia świadomego były: pojawienie się „Gazety Polskiej“ w Brazylii, założonej przez p. Karola Szulca i wystawa powszechna krajowa galicyjska we Lwowie, zapowiedziana na rok 1894. Zapanowała w tym czasie między naszymi rodakami wzorowa zgoda, niemal jedność i serdeczność. Co było z nich wybitniejszego,ześrodkowało się w Kurytybie. Jak najlepszy był też stosunek z władzami brazylijskimi. To wpłynęło na pomysł uczestniczenia stanu parańskiego w wystawie lwowskiej.

Sprawa przybrała zakrój ogólno stanowy. Utworzył się komitet złożony z Polaków i Brazylian, którzy byli najwyższymi dostojnikami w stanie. Postanowiono kosztem stanu wybudować własny pawilon na wystawie. Za pośrednictwem redakcyi „Przeglądu Emigracyjnego“ we Lwowie zniesiono się z komitetem wystawowym. Tenże przychylnie przyjął propozycye zamorskie i wysłał przez jadącego do Parany Jana Kośmińskiego całą pakę pa-

pierów, (ogłoszeń, objaśnień, reklam, upoważnień i t. p.) do Kurytyby.

Płody i wyroby parańskie obok mnóstwa wspaniałych widoków fotograficznych, miały się przedstawić publiczności wystawowej bardzo pokaźnie, pewnie nie gorzej od polskiego pawilonu północno-amerykańskiego, który był jedną z większych przynęt wystawy lwowskiej 1894 r.

Niestety w r. 1893 wybuchło powstanie brazylijskie przeciw władzy wice-prezydenta rzeczypospolitej, Floryana Peixoto (wym. Pejszoto). Miało ono zabarwienie cokolwiek monarchistyczne. Lecz tylko mała część powstańców marzyła o przywróceniu cesarstwa, obalonego przez stronnictwo zachowawcze plantatorów kawy. Na cesarzu Don Pedrze 1889 r. zemścili się oni za ogłoszone przez niego w 1888 r. zniesienie niewolnictwa i chwilowy upadek plantacyi. Zabrakło rąk do pracy, a niewolników już nie można było sprowadzać. Wypadło ściągnąć pracę wolną z Europy. Republikański rząd brazylijski postanowił sprowadzić wielką liczbę pracowników ztamtąd, płacąc im podróż przez morze i urządzając ich rozmieszczenie w każdej brazylijskiej prowincyi, wedle wyboru przybysza. Najwięcej przybyło Włochów i Polaków.

Ogół ludności, a szczególniej koloniści cudzoziemcy, niechętni byli nowemu rządowi republikańskiemu, który opierał się mocno na wojsku. Powstanie trwało do połowy 1894 r. głównie w stanie Rio Grande do Sul, gdzie właściwie wybuchnęło i zkąd rozszerzyło się na stany Santa Catharina i Parana. Sympatye kolonistów dla powstania ujawniły się wybitnie: utworzyły się oddziały powstańcze włoskie, niemieckie i polskie. Zasłynął pułk polski. Znani są w dziejach tego ruchu zbrojnego pułkownik Antoni Bodziak oraz oficerowie jego, Jan Koźmiński i Dąbrowski. Powstańców ożywiał duch wolnościowy; zwalczali militaryzm, zachowawczość i tubylczość „republikanów".

Choć powszechne sympatye polskie zwracały się do powstańców, byli jednakże i tacy pomiędzy Polakami, którzy wcale nie sprzyjali rewolucyi. Przytem bohaterska obrona Lapy, miasta położonego w Paranie na południu od Kurytyby, kierowana przez pułkownika Carneiro, wstrzymała powstańców. Sam pułkownik zginął wprawdzie i miasto zostało zdobyte; ale dowódcy powstania Gumercindo Saraiva i inni riograndeńczycy woleli powrócić na południe do swego stanu rodzinnego, niż iść śmiało na północ do S. Paulo i Rio de Janeiro, gdzie ich oczekiwali liczni zwolennicy.

Po ich ustąpieniu zgnieciono ruch w Paranie, (a następnie wszędzie na południu w jego rodzinnem ognisku).

Powstanie upadło, dość krwawo stłumione przez rządowców. Utylitarny wzgląd przeszkadzał wyrażaniu sympatyi do niego. Zamięszanie i intrygi osobiste naszych księży i ludzi świeckich sprawiły w wielu koloniach powszechne rozdwojenie na „kaskudów“, „pikapauów“ (dzięciołów z łbem czerwonym, jak kaszkiety wojska rządowego) z jednej strony i na „marragatów“, [1]) „federalistów“ z drugiej strony. Szczupła garstka inteligencyi polskiej także się rozdwoiła. Dawna łączność i serdeczność przemieniły się na podejrzliwość i nienawiść.

O przyjęciu udziału w wystawie lwowskiej mowy już nie było. Paki wyprawione zaginęły — szkoda było czterech pełnych fotografij z różnymi typami i widokami, zebranych przez inżyniera Edmunda Saporskiego. Towarzystwo polskie, nowo powstałe pod wezwaniem Hetmana w siermiędze, zwinięto. Jego meble i książki oddano na przechowanie ks. D., rządowcowi. Przez czasy najgorsze rewolucyjne „Gazetę Polską w Brazylii“ utrzymywał i redagował p. Edmund Saporski. Następnie przeszła ona na własność członków Spółki drukarskiej a ci powierzyli redakcyę jej p. Ignacemu Waberskiemu. Ten zmienił tytuł jej na „Polonię“, powiększył format i treść.

Niestety gazeta ta, choć stoi na wyższym stopniu rozwoju, niż poprzedniczka, nie rozchodzi się w dostatecznej ilości. Z zawistnych stosunków partyjnych politycznych, wynikła niechęć niektórych księży polskich do niej, zupełnie nie usprawiedliwiona. Zabraniają ją czytać i prenumerować. W każdym razie jednak redakcya „Polonii“ jest wciąż punktem środkowym życia polskiego w Paranie, pomimo że go nie ogniskuje całkowicie. Mieszkając w jej lokalu, byłem zatem w środku skupienia polskiego w Kurytybie.

W dniu 12. października odbyło się walne zgromadzenie towarzystwa imienia Kościuszki. Mnie obrano przewodniczącym obrad. Zebranie to było zmartwychpowstaniem Towarzystwa. Ks. D. przemówił pierwszy, przedstawiający stan jego obecny i przyczyny, dla których było nieczynne przez czas jakiś. Wybrano

---

[1]) „Marragatos“ znaczy dziady, żebraki, szubrawcy, gałgany — mniej prawdopodobne wydaje mi się pochodzenie tego słowa od wyrazu maraca, który znaczy: cymbał z dyni, używany przez Indyan, jako instrument muzyczny, wojenny, rodzaj tamtamu chińskiego.

nowy zarząd. Ks. D. oświadczył, że zwraca wszystkie pieniądze, książki i meble Towarzystwa, oddane mu na przechowanie. Towarzystwo rozpoczęło swe życie.

Zagadnięty o wypowiedzenie swych uwag, nie siliłem się na komplementa, wyrażając boleść, że żywioł nasz tak małe ma znaczenie w stosunku do swej liczby. Upatrywałem przyczynę tego w niskiej oświacie, braku większej liczby ludzi inteligentnych i niedostatecznej organizacyi stowarzyszeń po koloniach. Musiałem też w krótkich słowach przedstawić stan krajów naszych w Europie, poczem zebranie przeszło w luźną pogadankę poufną.

Stolica Parany K u r y t y b a wygląda co do wielkości i zaludnienia, jak większe miasto gubernialnie Królestwa Polskiego. Szerokie jej ulice przecinają się pod kątem prostym; domy są białe, nizkie i pudełkowate o architekturze portugalsko - maurytańskiej. Władza i większość mieszkańców używa języka portugalskiego. Jak miasta śląskie, tak też i stolica Parany zmienia się zupełnie w dnie świąteczne i jarmarczne. Zapełniają się wtedy wszystkie jej ulice i place ludem polskim, jego malowniczymi strojami, zaprzęgami krakowskimi i mową, która brzmi na bruku i w sklepach, gdzie wszyscy Niemcy i Brazylianie po polsku rozumieją i mówią z pobudek własnego interesu. Albowiem kolonista polski nie kupuje nic w sklepie, o ile się nie rozmówi w języku rodowitym.

Przy zapoznawaniu się z Brazylianami (lub Portugalczykami) szepce się wzajemnie niewyraźnie nazwiska po cichu — zupełnie jak u nas. Następnie przy bliższem poznaniu, bywają wymienione bilety wizytowe z adresami, celem złożenia sobie wizyt. Robiąc znajomości w tem sposób i ja usłyszałem nieraz krótki szept oraz zostałem dokładnie powiadomiony o adresie przy wymianie biletów wizytowych. Tymczasem, przybywając w odwiedziny według adresu, nie mogłem sie zwykle dopytać o pana domu. Albowiem na portugalskich wizytówkach jest co najmniej kilka słów długości łokciowej, nie mieszczących się w jednym wierszu i niepodobna odgadnąć, które z nich jest właściwem nazwiskiem a które też i w rozmowie nie bywa używane. Wabią się wzajemnie jednem z imion. Wybierajże tu dźwięk, wydobywający pana domu z kryjówki jego? Służba wtedy w dobrej wierze odsyła gościa na inny kraniec miasta, jeżeli się pomylił w wyborze.

Mimo takich przeszkód zapoznałem się i nawet zaprzyjaźniłem z naczelnikiem biura kolonizacyjnego parańskiego, mającym wyjątkowo tylko trzy nazwy na swym bilecie: Aristides Liberato

Pereira. Starałem się zbliżyć do szefa kolonizacyi. Za jego pozwoleniem a najczęściej w jego towarzystwie, zwiedzałem wielkie drewniane szopy (baraki) emigranckie, gdzie naszych ludzi dosyć wygodnie rozmieszczano za miastem.

Wysłuchiwałem ich zażaleń i obaw, często zupełnie urojonych, np. przejmowała ich panika przed udaniem się do kolonii Rio Claro i namiętna ochota przeniesienia cię na kolonię Lucenę lub odwrotnie. Ratowałem ich więc w ich własnem dziwacznem mniemaniu, o ile mogłem, prosząc swego przyjaciela, aby ich przepisywał z jednej listy na drugą. Tłumaczył mi, że to zupełnie wszystko jedno, dokąd pojadą z Kurytyby, że niepodobna przewidzieć, jak powiedzie się poszczególnym świeżo zakładanym koloniom. „Postanowienia" i „przekonania" naszych kobiet co do miejsca osiedlenia się, zmieniały się co chwila. Wczorajsza zwolenniczka Luceny dzisiaj dostaje febry ze strachu na myśl, że tam pojedzie — wtem ja jej na chybił trafił przyrzekam, że pojedzie do Rio Claro. Twarz wtedy jej się rozjaśnia, całuje mnie po rękach z wdzięczności i ostatecznie jedzie do Luceny.

Niezbyt długo, bo tylko kilka dni, nasi ludzie czekali. Małymi partyami wciąż opuszczali obecne miejsce pobytu w barakach, udając się do wymierzonych działków odległej kolonii.

Trudno było co zarzucić naczelnikowi kolonizacyi. Bardzo chętnie wysłuchiwał wszelkich skarg i czynił im zadość wedle możności. Niesłychanie cenił nabytek ludnościowy polski. Dowodził z zapałem, „że cały rozwój miasta i stanu zawdzięczyć należy kolonizacyi polskiej". „Gdyby nie ci ludzie, tak dziwacznie ubrani, jak ten oto tu przechodzący, mówił mi, nie mielibyśmy co jeść, nie stanęłoby tyle budynków i zakładów przemysłowych i nie zbudowanoby tyle dróg kołowych i kolei żelaznych. Zaiste więcej są oni warci dla Parany, niż kopalnie złota!" Szkoda tylko, pomyślałem, że korzyść z pracy naszych rodaków miał największą żywioł brazylijski i niemiecki.

Odwiedziny moje u prezydenta czyli gubernatora stanu Parana powtórzyły się kilkakrotnie. Pan Xavier (wym. Szawjer) był zawsze bardzo przystępny, poważny, uprzejmy. Prostotę jego trochę wydrwiwano. Zarzucano mu, że jest „caboclo" t. j. prostak z głębi lasu, nie władający językiem francuskim. Miał wszakże cechy ujmujące. Poprzednik jego na wysokim urzędzie utrzymywał liczną straż przed pałacem; ceremoniał przyjęć nie dopuszczał pierwszego lepszego przed jego oblicze; dość biegle rozmawiał z cudzoziemcami po francusku i angielsku.

Pan Szawjer zniósł wszelkie straże i ceremoniał bez obawy, żeby go kto nie zastrzelił. Każdy żebrak może teraz prosto wejść na pierwsze piętro do jego salonu i przybocznego pokoju pracy, opowiadając się tylko służbie. Wzbudza zaś szacunek swą uczynnością i powagą więcej, niż jego poprzednik angielską i francuską mową.

Przykra jest tylko konieczność bardzo długiego wysiadywania u niego. Musiałem wciąż odpowiadać na uprzejme pytania zadawane przez niego i jego gości w języku portugalskim. Odpowiedź brzmiała łamaną portugalszczyzną lub na migi. Pożegnał mnie najwyższy dostojnik Parany zdawkowo uprzejmem zdaniem, że jest na me rozkazy „estou (wym. sto) a suas ordems“.

Kilkakrotne moje odwiedziny u księdza biskupa kurytybskiego, Barrosa Camargo, przeciągały się też nad miarę; lecz były mniej męczące z powodu biegłości księcia Kościoła w języku francuskim i niezwykłego ożywienia, jakiem się odznacza. Wiele się wypytywał o polskie stosunki. Skarżył się dobrotliwie na niektórych księży polskich i usilnie mnie prosił, abym mu przy objazdach swych zdawał sprawę o nich oraz o stosunkach ich z ludem polskim. Wyrażał z naciskiem swoją sympatyę do kolonistów polskich i chęć usłyszenia rzetelnej prawdy ze źródła bezstronnego. O tubylczy szowinizm brazylijski nie było racyi go podejrzywać, choć pono się niecierpliwił, gdy świeżo przybyły ksiądz polski, nie nauczył się dość pospiesznie po portugalsku. Czekał wtedy na sposobność, aby go przenieść na parafie brazylijskie.

Zamianowanie dwóch księży polskich przy kapitule kurytybskiej było pono skutkiem mych odwiedzin. Ks. biskup kurytybski ma dyecezyę rozciągającą się na całe dwa stany: Parana i Santa Catharina.

14. października. — Wyjazd nad rzekę Iguasu. Droga żelazna z Kurytyby do Restinga Secca. Mulat mówiący po polsku. Porto Amazonas.

Postanowiłem na razie nie zwiedzać bliższych okolic Kurytyby, gdzie znajdują się kolonie starsze i więcej rozwinięte, lecz udać się najpierw do dalszych świeżo założonych a trudniejszych do zwiedzenia. Powstały one 1889 r. nad rzekami Iguasu i Rio Negro lub w ich pobliżu. Okolice iguasowe i rionegryńskie były przedtem siedzibą pół dzikich „Caboclos“.

Od Kurytyby do stacyi zwanej Portaõ (wym. Porta), pociąg wlecze się, przebywając co najmniej 10 kilometrów istnej serpentyny po łące, mimo że miejscowość ta jest odległą od Kurytyby tylko 6 kilometrów, a liczne zabudowania na tej przestrzeni w prostej linii tworzą milową ulicę i rodzaj długiego przedmieścia stolicy.

Z Portão idzie dalej pociąg przez przetrzebiony las do stacyi Barigui, położonej w obrębie kolonii polskiej Thomas Coelho (wym. Tomas Koelio). Jest to największa osada w całej okolicy kurytybskiej; składa się z osadników galicyjskich i górnoślązkich, posiada dwa kościoły, tworzy z rozrzuconych swych domostw i gospodarstw istny powiat 10-ciu tysięcy ludności polskiej. Całą drogę aż do stacyi następnej, zwanej Araukaryą od sosny tej nazwy, kolej kręci się po mokradłach i zaroślach. O parę wiorst od stacyi utworzono parafię Araukaryę; dawniej była ona wyłącznie brazylijska, teraz jest już prawie całkiem polską. Proboszczem jej był ks. Soja, były Bernardyn z Galicyi — obecnie ks. Anusz.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.